Nr. 39. Poznań, Niedziela 23-go Września 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1 markę;*** *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***59 cent.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,65 mr.,*** *w Austro-Węgrzech* ***1 złr.,*** *za Oceanem* ***1 dolar.***
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Nasz teatr.

Rozpoczynający się z dniem wydania niniejszego numeru sezon teatralny dawno już nie miał tak dobrych widoków, jak obecnie. Złożyło się na to kilka rozmaitych okoliczności, z których najważniejsze tylko zaznaczamy.

Przedewszystkiem — teatr nasz zastaje nas w chwili wysokiego podniecenia umysłów i skierowania dążeń ku celom narodowym; podniecenie to nie jest przemijającem i chwilowem, lecz oznacza zasadniczy zwrot, od którego — daj Boże — datować się będzie nie dorywcza, lecz stateczna i wytrwała praca naszego społeczeństwa w gromadzeniu sił do obrony narodowości. Tamgdzie elementarz polski jest bronią, i to jedną z najskuteczniejszych — tam scena polska, tam teatr polski nie gorszą bronią być powinien. Społeczeństwo nasze niema w swym arsenale zbyt wiele obronnych środków, więc potrafi ono tem lepiej ocenić znaczenie sceny narodowej i stosownie do jej znaczenia ją popierać.

W dzisiajszych czasach powszechnego rozwoju społecznego, gdy wystawy przemysłu i sztuki, gdy odczyty i uniwersytety ludowe, bezpłatne czytelnie i biblioteki w znacznej mierze odbierają szkole wpływ na wychowanie społeczeństw, w tych czasach i teatr stał się jedną ze świątyń, oddanych pielęgnowaniu szlachetnych porywów duszy ludzkiej, stał się jedną z instytucyi społecznych, potężnie oddziaływujących na cały poziom ducha i moralności społeczeństw.

Należy uświadomić sobie to ogólne znaczenie teatru jako dźwigni postępu ogólnego, oraz jego szczególniejsze znaczenie w naszych stosunkach, gdzie staje on się dźwignią interesów narodowych, aby zrozumieć, dlaczego społeczeństwa stojące na pewnym stopniu kultury i mające świadomość celu swego bytu powinny teatr popierać, teatr i sztukę pielęgnować, starać się teatrowi otworzyć na rozcież wrota do wpływu na jak najszersze masy.

Społeczeństwo nasze to rozumie — i społeczeństwo nasze teatr swój popierać będzie tem ochoczej, tem usilniej, im jaśniej w głowach świtać będzie myśl o wielkiem posłannictwie teatru w podtrzymaniu duchowego życia na pewnem napięciu, w zaznajamianiu społeczeństwa z prądami obcych literatur, w rozbudzaniu wreszcie myśli narodowej przez pielęgnowanie sztuki narodowej.

Społeczeństwo nasze budzi się coraz bardziej do życia, a raczej — powiedzmy to otwarcie — budzą się silne swą liczebnością warstwy społeczne, podczas gdy inne zamierają i dlatego to teatr nasz tem lepszy i trwalszy oddźwięk wywoływać będzie w masach, im więcej zmysłu politycznego w tych masach się budzi.

Dlatego powiedzieliśmy, że nowy sezon teatru pod dobrą rozpoczyna się wróżbą: pod wróżbą rozbudzenia życia narodowego, którego echem będą szczelnie zapełnione rzędy w sali widzów.

Teatr i życie uzupełniają się nawzajem, a ich wpływy nawzajem oddziaływują na siebie. Jak obecne ożywienie na arenie politycznej tylko na dobre wyjść może teatrowi naszemu, sprowadzając tłumy do sali jego — tak z drugiej strony teatr błogo i zbawiennie oddziaływać będzie na te masy.

Mówimy w formie twierdzącej, że **będzie**, *bo znamy dostatecznie sprężystość i obywatelskie poczucie obecnej dyrekcyi teatru i w osobie pana Edmunda Rygera mamy gwarancyę, że teatr poznański będzie nadal szedł pod jego wytrawnem kierownictwem w kierunku przyciągania do teatru naszego obywatela klasy średnio-mieszczańskiej.*

Pan Ryger zapewne długo zachowa w pamięci wspomnienia ubiegłego sezonu letniego, gdy podczas jego nieobecności, a wskutek tego zaszłych nieporozumień — wynikło pożałowania godne poważnienie pomiędzy nim a reprezentacyą obywatelstwa poznańskiego grodu, z której to zapewne obu stronom niemiłej kampanii wyszła dyrekcya teatru zwycięzko jedynie dlatego, że na szalę zasług swych dyrektor położyć mógł **zdemokratyzowanie** *teatru w znaczeniu uprzystępnienia go szerszym masom ludowym.*

Miejmy nadzieję, że zapanuje znów harmonia, choćby już w interesie dobra sprawy, a to niech będzie drugą rękojmią powodzenia naszego teatru, tej nieomal ostatniej przystani, a więc tak ważnej placówki polskiej. Dyrekcya wraca na dawny posterunek chyba w poczuciu, że społeczeństwo potrafi ocenić jej zasługi, że postara się wywdzięczyć za pełną oddania pracę hołdem złożonym panu Rygerowi, zarówno artyście jak obywatelowi — a to poczucie powinno dzielnego kierownika teatru poznańskiego pobudzić do tem żywszej pracy i tem większych usiłowań. A choć „oficyalna“ krytyka tych usiłowań jego by kiedy niedoceniła, to niech dyrektor Ryger zawsze pamięta, że ponad tą „oficyalną“ krytyką jest u nas społeczeństwo, które coraz samodzielniej myśli i czuje — które krytycznie zapatruje się na ludzi, a zasługi prawdziwe zawsze ocenić potrafi i szczerą wdzięcznością za nie zapłaci.

Niech więc dyrektorowi w tym nowym świeżo rozpoczętym sezonie gwiazdą przewodnią będzie hasło: **zdemokratyzowania teatru poznańskiego.** *Ma on potemu energię i wolę; nie wątpimy, że do celu zatem dojdzie — i w tej myśli powracającym do nas artystom i ich kierownikowi serdeczne wołamy:* **Witajcie!**

Redakcya „Pracy.“

Po wiecu.

„Nie mamy bagnetów, abyśmy nimi mogli poprzeć energię naszą, ale nie dopuścimy nigdy, aby zniknął w ziemi naszej język przepiękny Mickiewiczów i Słowackich“ — temi słowy odezwał się w toku przemówienia jeden z wiecowników,*) a sala cała zatrzęsła się od jednogłośnego okrzyku: „Nie dopuścimy!“

I czuć było w tej chwili jakby jakiś potężny powiew, jakby jakiś ogromny, z tysiąca serc wydobyty akord, w którym zlewało się wszystko: i poczucie krzywd doznanych, i zapowiedź odwetu, i zrozumienie obowiązku. A nadewszystko: istotne, szczere, silne przejęcie się; — *wolę* czuć było w tym okrzyku taką, która niepodobieństwa czyni możliwemi, a trudności przezwycięża samym rozmachem swoim.

Mój Boże! ileż to razy już o nasze uszy odbił się taki pełen solennej siły i szczytnych zamiarów okrzyk: *Nie damy się* — a jednak „coraz smutniej na tej ziemi było“! Dlaczego? Oto dlatego, że silne wzruszenia nie trwają długo, a już u nas bardzo krótko, jeśli chodzi o polityczne rozkołysanie mas. Masy ludu na wiecach i w publicznych przemówieniach znajdują dostateczne ujście swym podrażnionym uczuciom patryotycznym, nikt nie żąda od nich czegoś więcej prócz zgodnego okrzyku: *nie damy się,* więc utarło się przekonanie, że jakaś rezolucya, petycya lub adres jest już rzetelną polityczną pracą.

Tymczasem jest nią niezawsze, a raczej bardzo rzadko.

Tych kilka zdań przedwstępnych było potrzeba, aby — z jednej strony — określić stanowisko ostatniego wieca do pracy narodowej, jaka czeka nasze społeczeństwo w przyszłości, a dalej, aby — z drugiej strony — zaznaczyć różnicę, jaką ten wiec się odznaczał wobec wieców poprzednich.

Co do pierwszego punktu, to mamy niepłonną nadzieję, że wyraz patryotycznych uczuć, jakiśmy widzieli w wiecu poznańskim, nie pozostanie czczym frazesem, lecz *będzie hasłem czynu.* Nadzieję tę opieramy na trafnem rozpoznaniu naszej obecnej sytuacyi politycznej, jakiego wiec dał dowody. *Kto patrzy trzeźwo na sprawy polityczne ludu polskiego, ten przyjść musi do przekonania, że potrzebą chwili jest radykalna polityka narodowa, nie oglądająca się ani na rząd pruski, ani na stronnictwa parlamentarne, lecz całą siłą prąca do zaostrzenia sytuacyi polsko-pruskiej.*

Wiec tę potrzebę rozpoznał i do niej też swoją akcyę zastosował. Oto punkt drugi: różnica pomiędzy nim, a dawnymi wiecami.

Dotychczasowe wiece szły drogą petycyi — drogą, która przystoi starcom i żebrakom; *społeczeństwo, czujące w sobie siłę, a za sobą prawo, nie idzie tą drogą,* ono obiera drogę głośnego protestu. To już nie „lojalni i wierni poddani“ *proszą,* lecz pokrzywdzeni od krzywdzicieli się *domagają.* Taka jest różnica petycyi od protestu, tak ją pojmowali obywatele poznańscy, uchwalając protest, i w tem znaczeniu powinna ona znaleźć oddźwięk w Berlinie.

Kto prosi — ten decyzyę w swej sprawie pozostawia w obcem ręku i z góry przygotowany być musi na możliwość odmowy; kto protestuje — ten uważa stronę drugą za niegodną do sprawiedliwego wymiaru prawa i sam swych krzywd chce dochodzić drogami, jakie w danej chwili uważa za stosowne.

Rezolucye wieca poznańskiego, w kilku przytoczonych już dawniej punktach zawarte, na ogólnem tle protestu przeciw przemocy zawierają niejako kilka wskazówek co do dróg, jakiemi społeczeństwo chce sprawiedliwości *samo* dochodzić, nie licząc na to, aby ją mogło znaleźć u strony przeciwnej.

Przedewszystkiem rezolucye powzięte wskazują drogę samopomocy. Szerzenie polskich elementarzy, zorganizowanie nauki czytania i pisania po polsku, są to zadania o tak szerokim zakresie, że szczegółowe ich rozpatrzenie specyalnie powołanym do tego osobom musi być pozostawione.

Dalej — widzimy rezolucyę wyrażającą nadzieję, iż ksiądz Arcybiskup „z ramienia swej władzy apostolskiej weźmie dziatki nasze w swoją opiekę“, t. j. zaprowadzi w kościołach polską naukę religii. Życzenia te są w społeczeństwie polskiem zarówno powszechne, jak naturalne i łatwo zrozumiałe. W społeczeństwie, które, jak nasze, katolicką wiarę przez szereg wieków nauczyło się uważać za integralną cząstkę swej narodowości, w tem społeczeństwie nie mogą w inną stronę, jak ku władzy duchownej, zwracać się oczy ogółu w chwili, gdy z jednej i tej samej ręki spada cios niemniej zagrażający religijne podstawy wychowania, jak i narodowe interesa społeczeństwa. W tej chwili władza duchowna *z mocy swego powołania i z jego natury* musiała się wydawać naturalnym sprzymierzeńcem, połączonym jednolitością zagrożonych interesów.

Z odpowiedzi księdza Arcybiskupa nie można wnosić, jakie ma zamiary, a nawet jak zapatruje się na to, o ile w razie danym zagrożone są interesy religii; oczywista rzecz, że tylko władza duchowna sama jest w tej mierze kompetentnym sędzią i niebezpieczeństwo ocenić potrafi.

Gdyby jednak zdaniem tej władzy, mniemanie której dla społeczeństwa naszego jest miarodajnem, niebezpieczeństwo, zagrażające religii z powodu reskryptów Studtowskich, nie było tak groźnem, iżby

*) Mówcą tym, którego słowa przenikły do serc wszystkich obecnych, a było zgromadzonych przeszło 3000 — był pan Ignacy Andrzejewski z Jeżyc (patrz fotografią w Nr. 37 „Pracy“ na str. 969), obywatel pełen zasług około dobrej sprawy, obywatel czczony i kochany przez nas wszystkich.

usprawiedliwiało zaprowadzenie nauki religii w kościołach, wtedy uważalibyśmy chwilę za odpowiednią do wydania hasła „zapisywania dzieci jako bezwyznaniowych“, a zwiększone w ten sposób niebezpieczeństwo utraty religijności zapewne byłoby w oczach troskliwej o dobro dusz władzy duchownej dość wielkie, aby zaprowadzić naukę w kościołach — —

Lecz są to sprawy jeszcze nieco oddalone.

Wiec na razie trwa w przekonaniu, że ks. Arcybiskup nie zaniecha wziąść dziatek w swą dostojną opiekę z ramienia swej apostolskiej władzy i dlatego w osobnej rezolucyi zaznaczył, że nie należy dzieci wypisywać z nauki religii.

I postąpił tutaj wiec bardzo mądrze i bardzo słusznie.

Również szczęśliwą myślą było wysłanie wyrazu hołdu do kardynała Ledóchowskiego. W chwili, gdy sprawy narodowe wiążą się z wyznaniowemi dzięki okolicznościom, lecz dzięki tymże okolicznościom odmiennemi drogami pójść mogą, słusznem i sercu miłem jest wspomnienie czci pełne złożone u stóp Tego, komu danem było obronę wiary wraz z prawami narodowości harmonijnie połączyć — — w cierpieniu.

Vester.

Nasza przyszłość w Poznańskiem.

III.

Celem w życiu święte prawo:
Wytrwać, zostać, być Polakiem.

Niezachwiana wiara w przyszłość zwycięską i wolną będzie nam puklerzem, o który odbijać się będą wszystkie pociski przeciwko nam rzucane i bezsilne u nóg nam padną, a czyny nasze obronne, z tą wiarą podjęte, będą grotami godzącemi ostrzem swem we wrogów.

Lecz nie łudźmy się znowu zbytnio, nie kołyszmy się w biernym optymiźmie i niech ta wiara w siłę naszą i zwycięstwo nie będzie nam bielmem na oczach, czyniącem nas ślepymi na istotne, groźne niebezpieczeństwo.

Nie straszą mnie reskrypty ministeryalne i nie uląkłem się dotąd dzikiej hecy hakatystycznej; przeciwnie, daje mi ona poczucie naszej siły, skoro ze strachu przed nami, przed tą garstką Polaków brzęczą w całych Niemczech, jak w gnieździe ós i szerszeni, — a jednak jest przyczyna do troski i niepokoju, jest myśl, która świdrem bólu wkręca mi się do głowy i serca:

„Wydzierają nam naszę ziemię! Ziemia nam się z pod nóg usuwa! Wyprzedajemy naszę ziemię! Czyż nie ma na to rady? i nie ma ratunku? Wzięto nam już tysiące hektarów, setki tysięcy morgów; a cóż będzie, jeżeli nam wezmą jeszcze drugie tyle? We własnej swojej ojczyźnie zawiśniemy z całą naszą wiarą w lepszą przyszłość — gdzieś jakoby w powietrzu, nie mając o co nóg we walce oprzeć. Więc pytam raz jeszcze: czyż nie ma tutaj rady i nie ma ratunku?

Zdaje się, jakobyśmy już byli przywykli do tego, że od czasu do czasu gazety podadzą *„nową hiobową, wieść“*, że *„znowu piękny kawał gleby polskiej poszedł na kolonizacyą.“* Redaktorzy dodadzą przytem kilka słów oburzenia, czasem napiszą nawet cały artykuł o zdrajcach i sprzedawczykach stawiając ich pod „sąd opinii“ — i sprawa skończona, dopóki nowy skandal nie podraźni znowu na chwilę tego bólu nad bóle. W ostatnim czasie zrodziła się myśl podawania raz wraz spisu kolonizatorów w dziennikach, by nazwiska ich hańbą okryte wbijać na zawsze w pamięć narodu; jakoby taką wiechą postraszyć można spodlone twory ludzkie i powstrzymać je od frymarki ziemią ojczystą. Kto jest do tyla wytarty, i tyle wyzuty z uczuć polskich, że ojców ziemię kolonizacyi na łup wydaje za złoto czerwone, kto sam sobie piętno zdrajcy na miedzianem czole wyciska, ten się i nie ulęknie owego spisu w czarnej księdze. To też jeżeli w czem, to tu właśnie, w walce z kolonizacyą objawia się cała połowiczność i słabość naszej obrony. Gdybyśmy mogli w tych zepsutych i spodlonych tchnąć nowe dusze, stworzyć z nich nowych ludzi. gdyby ci najlepsi z nas mogli zrobić to, o czem wieszcz nasz marzył, kiedy wołał:

„Gdybym był zdolny własne ognie
przelać w piersi słuchaczy,
„Gdybym umiał strzelać grzmiącemi słowy do serca współbraci,“

możeby krzyk nasz do ich sumienia był dostatecznym środkiem ratunku i moglibyśmy na nim poprzestać; ale skoro widzimy, że wołanie nasze jest iście wołaniem na puszczy, i że wróg coraz szerzej nam się w domu naszym rozpiera, nie dosyć wołać na innych: „nie wpuszczajcie go do ojców domu, bo hańba wieczna was czeka“ — ale samym trzeba wrota domu dobrze zaprzeć, by i na nas ta hańba nie spadła.

Jakże to rozumieć? jakim środkiem odegnać wciskającego się na glębę naszę wroga i zatrzymać ją we własnem naszem posiadaniu? *Skierowaną na nas broń musimy tą samą bronią odbić;* przeznaczają miliony na wykupienie naszej ziemi, musimy i my zestrzelić sumę, któraby choć w przybliżeniu mogła się z tamtą mierzyć, a w każdym razie działanie jej paraliżować i osłabiać. Składkujemy dzisiaj na najróżniejsze cele dobroczynne i narodowe; lecz niechże mi kto na Boga wskaże cel więcej naglący, więcej palącą potrzebę nad tę, aby ziemię swą w posiadaniu utrzymać! Pesymiści i ludzie małego ducha powiedzą mi: jakżeż chcesz, aby nasze biedne społeczeństwo złożyło dzisiaj miliony, mogące się równać milionom kolonizacyjnym? Ależ tu nie chodzi wcale o rachunek tak ścisły, tu chodzi o każdy mórg, o każdą piędź naszej ziemi; nie uratujemy złożonemi pieniędzmi dwustutysięcy morgów, uratujemy chociaż pięćdziesiąt tysięcy! Dla nas, którym grozi utrata ziemi, tych pięćdziesiąt tysięcy morgów może być deską zbawienia, placówką obronną i ostoją na przyszłość.

A nawet ta suma, jakąbyśmy na cel ten złożyli, wcale nie potrzebuje być małą. Wszakżeż tu nie chodzi zgoła o jakąś sprawę wyłącznie poznańską, wyłącznie Po-

laków z pod pruskiego zaboru; zachowanie tej ziemi społeczeństwu polskiemu jest rzeczą ogólnie polską, jest potrzebą całej Polski jak długa i szeroka, *potrzebą każdego serca i mózgu polskiego.*

Biadamy tak często nad tem, że my Polacy z pod trzech różnych zaborów nie mamy wspólnych celów w naszem działaniu, że brak nam wzajemnego czucia. Niechże mi kto wskaże wspólny cel więcej godny i konieczny nad ten trzymania się teraz rękoma i zębami tych morgów, które nam jeszcze zostały. My tu teraz staczamy walkę i twardy bój o ziemię naszę. Królestwo i Galicya nie ma dla nas Poznańczyków zazwyczaj nic więcej, jak tylko pogardy i potępienia słowa dla „sprzedawczyków,“ a czyż stanęły w tej walce do szeregu? To nasze nieszczęsne Poznańskie mimo ciężkich prób, przez jakie przechodzi, bierze zawsze udział we wszystkich sprawach ogólno-polskich. Płynęły od nas grosze i na pomnik Mickiewicza w Warszawie czy w Krakowie, na odnowienie Wawelu, na sprowadzenie zwłok Mickiewicza i Słowackiego do kraju — bośmy wszyscy rozumieli i rozumiemy, że to są sprawy i potrzeby wszystkich Polaków. Tak jak za polskich czasów razem szliśmy do boju ze wschodu i zachodu, z południa i północy Polski i piersiami własnemi żywy stawiali mur nieprzyjacielowi, a gdy była potrzeba trupami swemi sypali szańce obronne, tak i dzisiaj choć groszami, które popłyną z nad Warty, Wisły i Niemna i Sanu usypmy zaporę obronną, przez którą oby już żaden Niemiec nie przeszedł! Pamiętajmy przecież, że w razie gdyby nam ziemię naszą dalej wydzierali, odpowiedzialność za to i hańba w oczach historyi spadnie nietylko na zgraję sprzedawczyków, ale ogółem na całe plemię polskie, które się dało Niemcom wyprzeć z ojców ziemi!

Poruszyłem myśl, którą poruszyć uważałem za konieczne; mam nadzieję, że znajdzie ona oddźwięk w każdej polskiej piersi; niech słowa moje dojdą do pałaców, do dworków szlacheckich, do miast i miasteczek, a przedewszystkiem też do chat wieśniaczych. Słuchaj ludu polski, tu o twoją chodzi przyszłość, by cię Niemcy z ojców roli nie wyparli!

Wszystkie pisma polskie, szczególnie też z pod innych zaborów proszę o poruszenie u siebie tej myśli. Dalsze jej urzeczywistnienie, obrócenie jej w czyn będzie się rozwijało samo przez się, skoro fundusz odpowiedni realizacyą jej umożliwi.

Poznańczyk.

Pruska policya i sądy pruskie.

Nie ulega wątpliwości, że w każdym normalnie funkcyonującym organizmie państwowym policya i sądownictwo są dwiema najważniejszemi gałęziami organizacyi. Od policyi, która reprezentuje poniekąd władzę wykonawczą i administracyjną, zależy bezpieczeństwo mieszkańców i swobodne wykonywanie ich praw obywatelskich; od sądownictwa zaś zależy wymiar sprawiedliwości, to jest podstawa i filar stosunków ludzkich wogóle. Państwo, któreby wykonywanie czynności policyjnych powierzało zbirom, należącym do domu karnego, a nie do baczenia na bezpieczeństwo publiczne, państwo takie nie miałoby prawa nazywać się cywilizowanem. Naturalnie kwestyę tę poruszamy i rozstrzygamy zupełnie teoretycznie, nie mając Prus i pruskich stosunków na myśli, jakkolwiek niejednokrotnie nazywaliśmy tu Prusy państwem niecywilizowanem. Nie wiedzieliśmy jednak wówczas o specyalnych nadużyciach władzy, jakich zdoła się dopuszczać uniformowany — — policyant, na ludziach bezbronnych; o tem zresztą nieco niżej piszemy, nadmieniając tylko, że gdybyśmy mieli przed oczyma *takie* przykłady, robiąc Prusom zarzut nie-cywilizacyi, to by nam po prostu zabrakło słów do scharakteryzowania tego, co myślimy o państwie pruskiem.

Lecz powróćmy do naszych ogólnych uwag. Rzekliśmy na wstępie, że sądownictwu bodaj czy nie większe należy się znaczenie przypisać w każdem państwie niż nawet tak wszechładnej jak w Prusach policyi. Nadużycia w sądownictwie, a na ich czele świadome fałszowanie wyroków przez samego sędziego, są to rzeczy w każdem państwie tak potworne, na które wogóle kary być nie może, bo one są hańbą nietylko kraju i państwa, ale całego stulecia, całej ludzkości.

Tyle o złej policyi i o złych sędziach w ogólności. Sądzimy, że to nasze zapatrywanie podziela z urzędu każdy dyrektor policyi pruskiej i każdy sędzia pruski.

Przejdźmy jednak teraz do praktyki.

Najpierw o szanownej policyi, która w swych godnych rękach dzierży bezpieczeństwo obywateli. W jaki sposób, powiedzmy *oryginalny*, zadanie to pojmowane być może przez zarażonego hakatyzmem policyanta, dowodzi tego wypadek następujący, o którym pisano z Poznania do „Germanii:“

„W Jeżycach przy narożniku ulic cesarza Wilhelma i Polnej, bawiła się gromadka dzieci pudełkami od papierosów i kawałkami koksu, znalezionemi na pobliskiem polu. Przedmioty te miały dziewczęta w fartuszkach. Nagle zbliżył się do nich policyant, a chwyciwszy 12-letnią Stefanią Łukowską za włosy, targał ją, pytając kilka razy: „Co ukradłaś?“ Gdy dziewczynka, płacząc, zapewniała, że nic nie ukradła, wyjął policyant z kieszeni powróz i chciał ją związać. Na krzyk Łukowskiej, przybył mieszkający opodal ojciec jej, mistrz stolarski, i zapytał policyanta: „Panie wachmistrzu, co zrobiła moja córka, że tak nielitościwie z nią się obchodzisz?“ Na te słowa policyant puścił dziewczynkę, a rzucił się na Łukowskiego i uderzył go pięścią w głowę. Gdy Łukowski rzekł: „Cóż pan czynisz, wypraszam sobie takie traktowanie“, policyant dobył pałasza i chciał nim Łukowskiego pchnąć w brzuch. Ten jednak zdołał w sam czas odepchnąć pałasz, kalecząc sobie lewą rękę. Policyant rzucił się po raz drugi na Łukowskiego i przebił mu na wylot muszkuły u prawej ręki. Krew trysnęła strumieniem, a Ł. upadł na ziemię. Spostrzegli to pracujący w pobliżu na budowli robotnicy i pospieszyli poranionemu z pomocą. Policyant powitał robotników słowy: „Przeklęte polskie psy, musicie zdechnąć, jak bokserzy w Chinach. Trzeba was wytępić!“ Naturalnie robotnicy nie pozostali dłużnymi odpowiedzi i zapłacili sowicie policyantowi, związali go i chcieli zawieść do biura komisarskiego. Rozbestwiony policyant zeskoczył jednak z wozu, wpadł do najbliższego domu i ztamtąd napadał na robotników. Związano go ponownie i posłano po komisarza, który też niebawem przyszedł z kilku policyantami, kazał napastnika „rozbroić“, zdarł mu odznaki i zarządził aresztowanie. Przywołany dr. Kożuszkiewicz opatrzył Łukowskiego, którego stan jest groźny.“

Oto pruski policyant!

Hakatyzm błogosławione wydaje owoce; czyż bowiem jest ktoś, co po przeczytaniu powyższych wierszy nie pomyślał sobie w pierwszej chwili: będę zawsze nosił przy sobie rewolwer?

Hakatyści zresztą, w zarządzie których właśnie wakuje jedno miejsce powinni ofiarować je owemu policyantowi i mianować go honorowym prezesem.

Ponieważ fakt sam aż nadto jest wymowny nie dorzucamy ani jednego zdania więcej pod adresem przedzierzgniętej w policyantów hakaty. Przejdźmy teraz do sądów.

Ciekawy fakt, ilustrujący nieszczęsne stosunki prasowe redaktorów polskich, pozostających na łasce sądów pruskich, znajdujemy w opisie procesu redaktora *„Gazety Toruńskiej“*, p. Brejskiego.

Pan Brejski był niegdyś skazany za rzekomą obrazę niejakiego Gerlicha, hakatysty i przytem posła i landrata okręgu świeckiego. Sąd grudziądzki, pod przewodnictwem Grasmana, znanego z procesów przeciw Polakom, wbrew oczywistej prawdzie i sprawiedliwości boskiej, wbrew zeznaniom świadków, którzy udowodnili, że Gerlich nie reagował na obrazę osobistą i niepodanie ręki — pana Brejskiego skazał.

Po odsiedzeniu kary pan Brejski napisał do prokuratoryi podanie przeciw całemu sądowi, nazywając Grasmana i jego towarzyszów fałszerzami prawa, którzy w motywach wyroku umyślnie i rozmyślnie sfałszowali zeznania świadków.

Prokuratorya wytoczyła panu Brejskiemu nowy proces, tym razem o obrazę sądu. Proces ten odbywał się w Grudziądzu i polegał głównie na zeznaniach świadków poprzedniego procesu.

Zeznania tych świadków wypadły dla oskarżonego korzystnie. Wogóle było można z góry przewidzieć, że sąd będzie musiał uznać niewinność oskarżonego. Prokurator pan Weizmann bez ogródki przemawiał za uwolnieniem p. Brejskiego i powiedział, że oskarżony działał w obronie uprawnionych interesów i że trzeba przy ocenieniu takiej sprawy stawić się w położenie oskarżonego jako Polaka!

Pan Grasmann nie spodziewał się widocznie takiej przemowy p. prokuratora, bo zabrawszy głos mówił w wielkiem rozdrażnieniu a nawet używał bardzo ostrych wyrazów. Ale spokojne i trafne wywody p. Brejskiego jako i powtórne przemówienie p. Weizmanna znowu za uwolnieniem, przechyliły szalę sprawiedliwości na stronę p. Brejskiego i sąd po dłuższej naradzie wydał wyrok uwalniający.

Wyrok ten, uznający trafność wywodów p. Brejskiego, że Grasman i jego towarzysze rozmyślnie go sądzili stronniczo, aby tylko potępić, — równocześnie trafnie charakteryzuje takich sędziów jak pan Grasman.

Pomyślmy tylko, że pan Brejski musiał płacić ogromne koszta i kary, odsiedzieć więzienie, prowadzić trzy razy proces i raz rewizyę w Lipsku zanim zdołał zdemaskować stronniczy wyrok p. Grasmana, a zrozumiemy ciężką dolę Polaków w zaborze pruskim...

Ciężka to dola i nic dziwnego, że coraz bardziej zaciera się w naszych oczach przedział, niby istniejący pomiędzy „cywilizowanemi“ Prusami a — Rosyą.... *S.*

Jeszcze Polska — dla Polaków.

Lombriasco via Turyn (Włochy), 9. IX. 1900.

Szanowna Redakcyo!

Przypadkiem dostał mi się do ręki numer „Pracy.“ Chciało tak zrządzenie, że trafiłem na artykuł pod tytułem: „Polska dla Polaków.“ Szczególnie nadmienienia o kongregacyi salezyańskiej wzbudziły tak we mnie, jako też i w wielu innych współtowarzyszach bardzo wielkie zainteresowanie. Dziwi mię to jednak, że prasa polska dopiero teraz zwróciła uwagę na tak ważną kwestyę i nie ostrzegła dawniej ludu polskiego przed wyzyskiem obcych narodów. Przestrzeżenie to było potrzebne przed pięciu laty,*) gdyż nie zmarnowałoby się tyle set tysięcy marek, nie zrujnowałoby tylu młodzieży polskiej zdrowia i czasu w dalekim kraju.

Jakkolwiek „Praca“ w odpowiedzi „Kuryerowi Poznańskiemu“ wykazała wyzysk Salezyan, którego się dopuszczają na ludzie polskim, wypada mi nadmienić o postępowaiu tychże względem Polaków w kolegium św. Joachima w Lombriasco, aby to posłużyło za przestrogę młodzieży polskiej, która pragnie nabywać wiedzy w obcym kraju.

Krótko po śmierci księcia Czartoryskiego, po zagarnięciu przez Salezyan miliona franków na cele wychowania młodzieży polskiej, przeznaczonych przez zmarłego, wzrost młodzieży polskiej, pragnącej poświęcić się stanowi duchownemu był tak wielki u Salezyan, postanowili założyć osobne kolegium dla Polaków. Pomysł został wykonany.

W małej niechludnej wiosce za Turynem zakupiono stare, pełne robactwa zamczysko i przeznaczono je na zakład wychowawczy. Okolica, w której się ten zakład znajduje, jest pusta i martwa, niema tu nic, coby oko wabiło, lub serce rozweselało; na domiar złego powietrze jest całkiem niezdrowe i zabijające, czego dowodem liczne choroby. Atoli o tych własnościach dowiedzieć się można po przyjeździe. Życie w tym zakładzie zdaje się niemożliwem, podobnem do życia niewolniczego, gdyż Salezyanie pracują tylko nad tem, aby nam wydrzeć mowę ojczystą i pamięć o ojczyźnie, aby zostać kiedyś ich ślepem narzędziem, aby kiedyś stać się wrogiem swych rodaków!... Nie raz im się to udało i pomiędzy klerykami znajdują się Polacy, którzy zaniedbują naszą świętą mowę i nie mogą teraz w języku ojców nawet z rodziną się porozumieć, jak to się stało przeszłego roku. I nie dziw: po polsku można rozmawiać tylko w pewnych czasach, zresztą zawsze po włosku, list do kolegi lub przyjaciela, znajdującego się w innem kolegium salezyańskiem można pisać tylko po włosku, nauki języka polskiego jest jedna godzina *w tygodniu* i to jeszcze udziela jej profesor, który w jednym liście robi przeciętnie 20 błędów, gdyż sam językiem licho włada, podczas gdy języka włoskiego jest sześć godzin tygodniowo i to jeszcze nasi nauczyciele twierdzą, że tego jest za mało. Nie wiem, czy my, będąc Polakami, nie potrzebujemy uczyć się swego języka, tylko włoskiego? Przecież jesteśmy w kolegium polskiem!... Chyba, że ono nazywa się tylko dlatego polskiem, że są w niem Polacy? Język wykładowy jest włoski.

Program wspomina także o nauce języka greckiego. Trzeba wiedzieć, że ukończywszy całe gimnazyum w tem kolegium, nie umie się nawet czytać po grecku. Co do geografii i arytmetyki, to się uczy to samo, co u nas w elementarnych szkołach, tylko że tutaj po włosku.

Oto jest wykaz nauki, jaką można pozyskać w Lombriasco. Przypatrzmy się innym zewnętrznym czynnikom, do czego posłuży najlepiej program.

Jest w nim wspomniane o obszernych salach jadalnych i sypialniach. A trzeba wiedzieć, że refektarz jest w piwnicach jakby jaka katakomba ciemna, a sypialnie na strychu pod samym dachem, wskutek czego w lecie jest gorąco do niezniesienia, a w zimie znów zimno nie do wytrzymania. W zimie zaś uczyć się trzeba w lodowni nieraz przy 6° Celz. zimna, bo piece nigdy ognia nie widziały, jakkolwiek na opał trzeba złożyć przy wstępie 20 franków. Następnie wspominają o ogrodzie pięknym. To jest rzeczywiście prawda, ale nań nie wolno prawie spojrzeć, a już broń Boże w nim się przechodzić, chociaż ma służyć do uprzyjemnienia pobytu w zakładzie. Warunkiem zaś do utrzymania zdrowia to chyba jest to, że trzeba nosić wodę po

---

*) Niestety nie było wtenczas jeszcze „Pracy.“ Przyp. Red. „Pracy.“

czteropiętrowych schodach. Jednem słowem program jest prawie całkiem — jedyną zachętą. Jest w nim wspomniane, że nauczyciele pracują na chwałę bożą i pożytek młodzieży. Myślę atoli, że mało jest z tego chwały bożej, jeżeli nas chcą przekuć na Włochów, odbijając kłótki od kuferków i wybierając nam dzieła Słowackiego, Mickiewicza, Sienkiewicza i innych klasyków, a dając nam pisarzy włoskich i to — jeszcze nie najlepszych. Szczególnie kleryk włoskiego pochodzenia signor D... odznacza się w tem szpiegostwie, dokuczając Polakom na każdym kroku. Przez niego opuściło zakład trzydziestu uczni, przez niego opuszczam ja i kilku innych te niegościnne strony. Wystarczy powiedzieć, że signor D... — to prawdziwy młot na polską młodzież....

W Turynie znów jest jeden ksiądz polski, bardzo szanowany i poważany. Ten jeden nas tylko żałuje i pociesza, lecz zakazują mu nawet rozmawiać z nami. Tego przez nas ukochanego księżynę wybrali sobie Salezyanie za narzędzie dla przekształcenia nas na Włochów. Poczciwiec jednak poznał się wkrótce na tem i oświadczył stanowczo: „io non voglio esser traditore della mia patria“ (Ja nie chcę być zdrajcą mej Ojczyzny), za co poczytano go nieomal za waryata. Biedny Księżyno, Dobrodzieju nasz, cześć Ci za twe wystąpienie w obronie za narodowością naszą, wszędzie tak gnębioną, cześć Ci raz jeszcze, Księże Dobrodzieju w imieniu młodzieży polskiej kształcącej się w zakładzie Salezyanów w Lombriasco!

Takie to stosunki panują między Polakami a Salezyanami. A my jak zbyt długo pozwolimy się wywodzić w pole? Jak długo będą drzeć z naszego biednego ludu grosze krwawo zapracowane? Jeżeli kto ma za wiele pieniędzy, niech je odda swemu ks. proboszczowi, a jego modlitwy wyjednają mu te same łaski, jakie mu wyjednywają modlitwy księży włoskich. Wszakżeż i u nas znalazłoby się wielu przedsiębiorców, którzyby się zajęli założeniem jakiego zakładu, a obeszłoby się bez współudziału Włochów i wtedy możnaby przynajmniej pod tym względem powiedzieć: Polska dla Polaków.

Zakończam wreszcie, prosząc Szanowną Redakcyą o umieszczenie tego artykułu w łamach swego pisma, za co będą wdzięczni wszyscy ci, którzy przez treść tegoż zostali ostrzeżeni przed pułapką. Również proszę o wybaczenie wszelkich nieformalności i błędów, gdyż odgrodzony od wszystkiego co polskie, nie miałem szczęścia kształcić się należycie w języku polskim.

W razie zakwestyonowania z której bądź strony mych słów powyższych chętnie służę wszelką dalszą, dokładniejszą informacyą, ściśle opartą na faktach.

Wasz *Noel*...

Do Polek!

O Polki! nam dzisiaj święte przypadło zadanie czuwania nad dziećmi naszemi, by wśród ciemności rzucanych przez wrogów przeszły nieskalane drogą ciernistą i pozostały wiernemi dziećmi Kościoła i Ojczyzny!

Bo Ona ku nam wyciąga skrwawione ramiona i brzęczące kajdany, błaga o litość nad biedną, opuszczoną dziatwą! Pomnijcie Polki, że obowiązkiem naszym, wychować Ojczyźnie silne zastępy! — Nie skarzcie się — proszę — że Wam brak czasu, bo skoro go starczy na rozrywki światowe, to przedewszystkiem nie powinno go zabraknąć na złożenie ofiary pracy na ołtarzu Ojczyzny! Porzućmy lekkomyślne spędzanie czasu, bo nam to nie przystoi dzisiaj! Dążmy zgodnie do celu! podajmy sobie dłonie — zaniechajmy waśni — rozrzutności — względów osobistych — nie wynośmy się nad drugich!!

Droga nasza porosła chwastami, lecz nas nadziei gwiazda prowadzi — choć stopy zranione — ona nam siły pokrzepia i jawnie wskazuje, że tam — w oddali — płonie jasny promień wolności!

Wy Polki mianowicie, które Bóg obdarzył dostatkiem — Wy, którym praca o byt nie zabiera czasu — Wy tem większy obowiązek macie przytulić do siebie biedne — zziębłe duszyczki — ciepłem serc chronić od mroźnych powiewów hakatystycznych — budzić do życia uśpione umysły — krzepić nadzieję, gdzie zwątpienie się wkrada — przygarnąć osieroconych i kochać gorąco! — och! najgoręcej! — tych, których już sama natura upośledziła. Kochajmy się Polki! — utwórzmy jedną — wielką rodzinę i walczmy razem! wszystkie za jednostkę — jednostka za wszystkie!

Marya O.

Cesarz Franciszek Józef w Galicyi.

Wszystkie koła ludności galicyjskiej skorzystały z pobytu cesarza Franciszka Józefa z powodu manewrów w Jaśle, aby za pośrednictwem delegacyi złożyć monarsze hołd, wyrazić uczucia miłości i przywiązania i podziękować za okazywaną od długiego szeregu lat przychylność. Na uroczystem przyjęciu delegacyi przedstawiła się cesarzowi najpierw deputacya duchowieństwa z biskupami na czele, dalej reprezentanci szlachty i posłowie, deputacye miejskie, wiejskie, powiatowe i t. d.

Na mowę marszałka kraj. Badeniego odpowiedział cesarz Franciszek Józef, co następuje:

„Ze szczególnem zadowoleniem widzę was około siebie, panowie, was, którzy ze wszystkich części kraju przybyliście znowu, aby wyrazić mi waszą niezmienną wierność i przywiązanie, jakich złożyliście już tak liczne dowody. Przybyłem tu chętnie, przy sposobności manewrów jednej części mojej armii, do kraju, który na moją nieustającą opiekę odpowiadał tak wdzięcznie najsilniejszem oddaniem się dla mego tronu. Liczne niepowodzenia, które ku memu głębokiemu ubolewaniu szybko po sobie kraj ten nawiedziły, stanowić muszą dla nas wszystkich tylko jeden powód więcej, abyśmy i nadal poświęcili nasze wszystkie siły jego interesom i jego rozwojowi. Przebywam znowu z radością, choć przez krótki czas w tym kraju, którego przedstawiciele mając zawsze na oku dobro państwa — zawsze chętnie i z rozumną rozwagą liczyli się z jego potrzebami. Wyraźcie panowie całemu krajowi moje serdeczne podziękowanie za jego gorące powitanie, i dodajcie w mojem imieniu, że zawsze czuwać będę nad jego dobrem, albowiem mem gorącem pragnieniem jest, aby kraj ten kwitnął i rozwijał się“.

Wszyscy obecni odnieśli wrażenie nadzwyczaj serdecznego usposobienia monarchy dla obecnych i dla całego kraju. Przyjęcie całe trwało trzy kwadranse.

(I cóż na to wspaniałe wprost uznanie wierności Polaków powiedzą hakatyści, którzy przedstawiają Polaków jako niepoprawnych rewolucyonistów i wrogów państwa nawet w Austryi? Prz. Red.)

Następnie cesarz rozmawiał z pojedyńczymi członkami delegacyi o stosunkach krajowych i położeniu ogólno politycznem. Do posła Byka, który wyraził ubolewanie, że od roku 1897go praca w radzie państwa była niemożliwa, cesarz powiedział: „Bardzo to smutne, tembardziej, że niema nadziei, aby stosunki zmieniły się na lepsze.“ „Myśmy, Najjaśniejszy Panie, starali się zawsze o to, aby rada państwa była zdolna do pracy“ — zauważył Byk. „Wiem, wiem, o tem bardzo dobrze“ — odpowiedział cesarz. W rozmowie z prezesem Koła polskiego w Wiedniu, Jaworskim, cesarz oświadczył, *że rozwiązanie rady państwa i rozpisanie nowych wyborów jest ostatnią próbą przywrócenia stosunków prawidłowych na drodze konstytucyjnej.*

Między innemi przystąpił cesarz do grupy dygnitarzy i szlachty, w której stali prezes rady powiatowej krakowskiej p. Paszkowski, przybrany w strój polski, emerytowany generał Ziemięcki, dalej przybrani we wspaniałe kontusze: Antoni hr. Wodzicki, Andrzej hr. Potocki, Marceli ks. Czartoryski, prof. dr. Milewski, Ludwik hrabia Wodzicki, poseł austryacki w Sztokholmie (również w stroju polskim), komendant twierdzy krakowskiej Fleck v. Falkenberg, prof. uniwersytetu Kreutz i Zoll, prezes akademii umiejętności hr. Stanisław Tarnowski, generał Waldstädten, dr. Bieńkowski i wielu innych. Z każdą z wyżej wymienionych osób zamienił cesarz po kilka słów.

Cesarz wygląda bardzo dobrze.

C.

Z TYGODNIA.

W sprawie chińskiej mamy do zapisania zdumiewający przykład solidarności Polaków z Niemcami w sprawie podbicia Chin. Wiekopomny ten fakt — nie zapominajmy, że będzie to unicum swego rodzaju — zdarzył się w okolicy Witosławia, gdzie też zapewne staraniem odpowiedniego komitetu zostanie postawiony odpowiedni pomnik tego szczególniejszego braterstwa i przymierza polsko-pruskiego.

Rzecz się miała jak następuje. Oddawna już zaczęły chodzić w okolicy Witosławia pogłoski, że okoliczni Polacy, nie mogąc wprawdzie z powodu nieszczególnych zbiorów tegorocznych, wyprawić armii Wojtków i Bartków przeciw Chinczykom, postanowili przynajmniej w ten sposób zamarkować swój polityczny rozum, że zbierają składki na wyprawę chinską, czy też fundusz na zapomogi ochotników i ich rodzin. Rzecz tak ważna, jak to postanowienie Witosławian, nie została coprawda telegraficznie oznajmiona cesarzowej chińskiej, ponieważ miejsce jej pobytu jest niewiadome, ale przynajmniej dostała się na łamy jednej z naszych gazet poznańskich. Korespodent donosił o fakcie, który społeczeństwo nasze do poważnej rozwagi przyjąć powinno, wskazuje on bowiem, że geograficzne położenie prowincyi naszej ma kardynalny błąd, a mianowicie, iż Witosław widocznie za blisko jest Owińsk, a wytwarzająca się stąd sąsiedzka wymiana myśli i zapatrywań grozi niebezpieczeństwem dla zdrowego zmysłu politycznego obywateli polskich.

Korespondent miał słuszność, biorąc rzeczy z ludzkiego punktu widzenia; z witosławskiego punktu widzenia musiały się one jednak przedstawiać zupełnie inaczej, ponieważ pan Tertulian Koczorowski z Witosławia oznajmił publicznie, iż Polacy z okolicy Wyrzyska istotnie zbierali składki na zapomogę po poległych w Chinach, ale uważają to za dobre i słuszne, ponieważ pomiędzy poległymi dużo będzie Polaków. Dziwimy się bardzo, że tego pełnego błogich nadziei oświadczenia nie powtórzyła *Nord. Allg. Ztg.*, albo co najmniej półurzędowe biuro Wolffa, gdyż Li Hung Czang bez kwestyi okazałby się skłonniejszy do układów, gdyby się dowiedział, że do „koncertu“ mocarstw europejskich przeciw Chinom przystąpili Polacy z okolicy Wyrzyska i Witosławia.

Tyle o sprawie chińskiej.

Nie poświęcając z zasady wiele miejsca głosom gazet niemieckich polemizujących z nami, ponieważ przekładamy nad to starać się wytwarzać w czytelnikach „Pracy“ własne zapatrywania na polityczne sprawy bieżące, — nie podawaliśmy w długich wyciągach tych wszystkich bredni, jakie o nas pisały w ostatnich czasach gazety niemieckie z powodu ruchu, jaki wszczął się w społeczeństwie polskiem z powodu rozporządzeń Studta. Nie możemy jednak pominąć znamiennego artykułu, który zamieściła niedawno „*Tägliche Rundschau*“ o sprawach duchownych i porównaniu ich z narodowemi w naszem spłeczeństwie.

Artykuł ten jest szczytem perfiidii, do jakiej doszła prasa niemiecka w postępowaniu z nami.

Brzmi on:

„W rzeszy niemieckiej, w państwie pruskiem Niemiec nie ma pewności, że urzędowe czynności, które katolicki Kościół pozwala lub nakazuje spełniać w języku ludowym, będą wobec niego i jego dzieci spełnione w języku niemieckim. W dawniejszych dzielnicach polskich przynajmniej może sobie katolicki ksiądz codziennie bezkarnie pozwolić to, aby nad otwartemi grobami niemieckich zmarłych odmawiać Ojcze nasz w polskim języku, odsyłać niemieckich penitentów od konfesyonału z wezwaniem, aby się najprzód nauczyli po polsku, a potem dopiero przyszli do spowiedzi itd. Ale co nas tu obchodzi najbliżej, to to, że nauki przygotowawczej do spowiedzi udziela się także po niemiecku mówiącym dzieciom — zwłaszcza z biedniejszych klas — w języku polskim i dla dopełnienia szyderstwa zmusza je się do składania wyznania wiary w języku polskim, aby potem uchodziły za Polaków i same uważały się za takich. Oświadczenie dzieci, że nie rozumieją po polsku, pomaga tu równie mało, jak protest rodziców, jeżeli nie grozi przejściem do ewangelickiego kościoła. Nawet duchowni, którzy uczą obydwoma językami, posyłają prostem: „już będziesz rozumiał“ niemieckie dzieci, które 10 słów polskich nie rozumieją, do polskiego oddziału, ale, ile tym sposobem traci niemczyzna, to oblicza się rocznie na tysiące.

„Tutaj trzeba zaradzić. Nie żądamy ustawy, którąby zabraniała duchownym uczyć polskie dzieci po polsku, ale żądamy takiej, którąby niemieckiemu katolikowi zapewniła czynności urzędowe w języku niemieckim, a przedewszystkiem niemiecką naukę do spowiedzi i niemieckie wyznanie wiary. Decyzyą co do tego, w jakim języku dziecko ma pobierać naukę do spowiedzi i składać wyznanie wiary, trzeba odebrać duchownemu, o ile ma być przy tem użyty inny, niż niemiecki język. Musi on być związany decyzyą władz, polegającą na oświadczeczeniu domu rodzicielskiego, szkoły (?) i władzy miejscowej (!!), bez której mu nie wolno rozpoczynać przygotowania, ani go udzielać w polskim języku. Za każde przekroczenie atoli, zwłaszcza co do udzielania polskiej nauki do spowiedzi niemieckiemu dziecku, jako też za używanie lub przypuszczenie dziecka niemieckiego do używania polskiego języka przy składaniu wyznania wiary musi nastąpić kara i to nie pieniężna, tylko więzienie!“

Na artykuł powyższy szczególniejszą uwagę zwróciła nasza władza duchowna, przytaczamy go tu więc, wyrażając na tej podstawie przekonanie, że władza ta nie da się zastraszyć niczem, a choćby i więzieniem, od opieki nad religijnością ludu. Ta nasza władza duchowna ma już za sobą tyle tradycyi, tylu wygnanych, wywiezionych na Sybir biskupów, tylu pasterzy więzionych za to, iż nie dali się użyć za narzędzie przeciw swej owczarni, iż ani na chwilę nie wątpimy w przyszłość. Samopomoc rodzicielska nie wystarcza w tym razie, aby młode pokolenie od protestantyzacyi a zarazem germanizacyi ochronić, *nietylko więc samopomocą, ale pomocą powołanych do tego władz duchownych zwalczymy hydrę dwugłową protestantyzacyi i germanizacyi.*

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Zajęci szeregiem nader ważnych spraw politycznych, które wynikają z naszego stosunku do rządu pruskiego, nie jesteśmy w możności, my Wielkopolanie, poświęcać innym sprawom polskim tyle uwagi, ileby one na to zasługiwały. Od czasu do czasu zaledwie w prasie polskiej napotkać można ślad tego, że przecież oprócz walki z hakatyzmem, z rusyfikacyą, z gospodarką galicyjską, i z emigracyą ludności rolnej — są kwestye bardzo żywotne i bardzo zasługujące na uwagę. Do takich spraw naprzykład należy nasz stosunek do Czechów.

Stosunek ten — pod wpływem walki z germanizacyą zdajemy sobie łatwo sprawę z jego źródeł — ukształtował się w formie serdecznej przyjaźni, ale przyjaźni czysto platonicznej a nadto teoretycznej. O przymierzu z Czechami, jako narodem bratnim słowiańskim, pisze i mówi się wiele, mianowicie na rozmaitych zjazdach, ale zazwyczaj to, co się mówi, do niczego nie obowiązuje i do niczego pozytywnego nie prowadzi.

Owszem tej teoretycznej przyjaźni coraz silniej kłam poczynają zadawać stosunki, panujące na kresach polskości — tam, gdzie Czesi i Polacy na spornym poniekąd stoją gruncie. Tu stosunki otóż czesko-polskie w praktyce dają obraz walki i to walki, w której inteligentne sfery czeskie dążą do zczechizowania osiadłego polskiego ludu. Niesnaski te doszły niedawno do tego, że uczeni filologowie, między innymi prof. Horzica,

zaprojektowali rodzaj polubownego, sądu celem wysunięcia granicy językowej pomiędzy obiema narodowościami.

O projekcie tym pisze warszawska **„Gazeta Poska"**:

„Celem p. Horzicy jest więc nie porozumiewanie się we wszystkich sprawach spornych, przyznanie równych praw i możności rozwoju obu narodowościom, lecz przecięcie kwestyi spornej przez sztuczne uregulowanie granic.

„Nie ulega jednak wątpliwości, że strony interesowane nie zgodzą się na określenie granicy, lecz każda oznaczy swoją linię, od której nie będzie chciała, ani mogła odstąpić, aby nie wystawić znacznej liczby swoich rodaków na wynarodowienie. W zatargu czesko-niemieckim Czesi dowiedli już, że w sprawach takich nie można z nimi trafić do ładu. Jeżeliby więc stało się według propozycyi p. Horzicy, to spór polsko-czeski na Slązku może się tylko zaostrzyć, ale nie złagodzić."

Sprawą powyższą zajęły się też i pisma czeskie.

— Praska „Politik" przeciwna jest wszelkim sądom.

Projektuje, aby pozostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi i spokojnie odczekiwać, za którą narodowością ostatecznie lud sam się oświadczy.

Na ten projekt, o milę pachnący wyrachowaniem a nie poczuciem sprawiedliwości, odpowiada krakowska **Nowa „Reforma"**:

„Z naszej t. j. polskiej strony „złej woli być nie może, nie mamy bowiem wprost środków na to, aby na członków czeskiej narodowości na Slązku wywrzeć presyę, iżby się wbrew przekonaniu oświadczyli jako Polacy. Czesi zaś niech wydadzą narodowy rozkaz swoim inżynierom, urzędnikom, lekarzom, przemysłowcom i nauczycielom na Slązku cieszyńskim, aby nie ważyli się takiej presyi wywierać na podwładnych sobie robotników i chłopów", jak to jest na porządku dziennym.

„Myśmy tj. Polacy później zaczęli narodową robotę na Slązku, niż Czesi, tymczasem zaś wielu Polaków z obawy przed zgermanizowaniem się, pod wpływem namowy, z bierności lub nieświadomości przyznawało się do narodowości czeskiej, lub ich bez pytania nawet za Czechów zapisywano. Dopiero z pierwszym przebłyskiem polskiej narodowej świadomości te jednostki poczuły się Polakami i zaczynają teraz publicznie przyznawać się do tego. Nie jest to więc owoc jakiejś zaborczej polityki ze strony Polaków, ale tylko częściowe odzyskiwanie tego, do utraty czego zupełnej byliśmy już na drodze."

Jesteśmy przekonani, że głos powyższy jest wyrazem zapatrywań większości naszej inteligencyi, a poparcie tego zdania znajdujemy w uroczystości otwarcia *Domu polskiego* w Morawskiej Ostrawie. W uroczystości tej, będącej świętem strażnicy narodowości naszej w owych spornych okolicach, brała szczerze i serdecznie cała Polska udział.

Otwarcie Domu polskiego w Morawskiej Ostrawie byłoby bezwątpienia bardziej jeszcze przyciągnęło uwagę ogółu, gdyby nie to, że w tym samym czasie odbył się wiec w Poznaniu w sprawie rozporządzeń Studta.

Nasze zdanie o wiecu wypowiedzie-dzieliśmy już powyżej, ograniczamy się więc tylko do przytoczenia interesujących a słusznych komentarzy ogólnej natury, jakie do opisu wieca łączy korespondent **„Kurjera Lwowskiego:"**

„Wiec sobotni był wielką i powszechną demonstracyą antirządową. Różni się on od poprzednich wieców tem, że zanosi protest tam, gdzie inne wiece zanosiły petycye.

„Ten demonstracyjno-protestujący charakter wieca sobotniego, który odtąd bezwątpienia cechować będzie wszystkie wystąpienia publiczne żywiołu polskiego wobec Prusaków, jest pierwszym ważnym dorobkiem politycznym dni ostatnich. Dotychczas nie znaliśmy jeszcze dobrze w praktyce **radykalizmu politycznego**, od soboty wywiesiliśmy chorągiew radykalną.

„To — pierwsza, najważniejsza, odrazu rzucająca się w oczy cecha tej wspaniałej manifestacyi, jaką był wiec sobotni. Warto poświęcić kilka uwag jej ogólniejszemu znaczeniu, zanim przyjdziemy do innych, również ważnych wytycznych, które wiec społeczeństwu wskazał.

„Prusacy byli dotychczas przyzwyczajeni do tego, że na każdą wynaradawiającą reformę prawną lub polityczną odpowiadali Polacy poznańscy wielkiemi lamentami w parlamencie lub w sejmie: zebrania ludowe za wskazówkami tychże menerów politycznych odpowiadały co najwyżej najpoddanniejszą petycyą, a jeśli się pojawił jaki ostry, energiczny głos prasy, to już Niemcy go komentowali w swych pismach jak coś niezwykłego.

„Obecnie z powodu rozporządzeń Studta i prasa przybrała energiczniejszą, a odpowiedniejszą do sytuacyi postawę i wiece publiczne zrzekły się prawa petycyonowania, a poszły drogą demonstracyi.

„Tak jest lepiej. Wykazuje to bowiem, ile to żywotności, ile siły kryje w sobie jeszcze to społeczeństwo, które nieraz wydaje nam się jakby ogłuszone ciosami germanizatorów."

Ciesząc się z dodatniego wrażenia, jakie wiec wywołał w całej Polsce, sądzimy, że jak najrychlej trzebaby pomyśleć o zwołaniu wieców na prowincyi. Jeśli nasze komitety wyborcze nie chcą narazić się na zarzut, że są ciałami bez energii i zrozumienia ważności chwili, powinny w tej sprawie jak najprędzej podjąć inicyatywę. Społeczeństwo nasze prędzej czy później pójść musi względem Prusaków drogą najskrajniejszego radykalizmu politycznego, którego pierwszem zadaniem będzie rozbudzanie w masach ludowych poczucia krzywd doznanych, prawa do swobód obywatelskich i narodowych, a wreszcie wytępienie w sercach i umysłach reszty błędnych przekonań, że my — jako poddani pruscy — mamy jakieśkolwiek obowiązki względem Prus. Państwo, które tak, jak Prusy wobec nas, wyzuwa się z resztek poczucia sprawiedliwości wobec swych poddanych, niema prawa od nich niczego się spodziewać.

W polityce Prus wobec nas była już zresztą chwila analogiczna do obecnej. Przytaczamy tu przypomnienie na czasie, zamieszczone w **„Gazecie Toruńskiej"**:

„W roku 1873 nakazało prowincyonalne kolegium szkolne w Poznaniu, aby naukę religii w gimnazyach wykładano tylko po niemiecku. Z tego powodu wydał ówczesny Arcybiskup, a dzisiejszy kardynał ks. Ledóchowski, do odnośnych nauczycieli okólnik, w którym zawarte jest między innemi następujące zdanie:

„Religii uczymy dziatwę, aby religią poznała, nie zaś dlatego, aby jej wykład miał ułatwiać nabycie znajomości niemieckiego języka. Używać tej nauki w tym ostatnim celu byłoby z naszej strony świętokradzkiem ubliżeniem najwyższej godności i powadze, do której ma prawo wiara i moralność".

„W dziesięć lat później przemawiał w sejmie pruskim o nauce religii ówczesny poseł polski, a dzisiejszy arcybiskup gnieźnieński i poznański, ks. Floryan Stablewski, a zakończył swoje wywody jak następuje;

„Chodzi tu może o dusz tysiące, którym grozi wprost niebezpieczeństwo, jeżeli tak (w języku niemieckim) ma być nauczaną religia i z całą słusznością powiedział mi Niemiec, rozważając to rozporządzenie, że ono go dotknęło boleśniej niż gdy kozacy wlekli Unitów do prawosławnej komunii, gdyż Unici byli ludźmi dojrzałymi i do wyboru mieli świętokradztwo — czy męczeństwo. Tu zaś wlecze niewola szkolna dzieci na naukę religii, która zobojętnić je tylko może, która je z własnym, rodzicielskim poróżni domem, która zapomnieć im każe o pacierzu matki, która je odsuwa od duchowego w kościele życia — a więc tem samem wręcz zagraża duszom dziecięcym.

„Panie ministrze Wybacz, jeżeli w sprawie tak dla nas niezwykłej zaapeluję też pana niezwykłym sposobem, jeżeli w rzeczy tak dla nas uczuciowej i drogiej poruszę i w panu strunę drogą i uczuciową. Stoisz, panie ministrze, wraz z innymi przy sterze państwa u szczytu jego potęgi. Aliści i to państwo także miewało dni ponure. Gdybyś panie ministrze, był żył w dniach onych, gdyby naonczas zniewalano dziecię twe w wykładzie religii, która odsłaniać ma prawdy odwieczne, wytyczne przez życie ku niebu, gdyby w wykładzie religii prawdy te zniewalano dziecię twe przyjmować w języku niezrozumiałym, nie zaś w słodkich, jasnych dźwiękach, w których od matki nauczyło się czcić Boga a kochać rodziców — to jakież uczucia, panie ministrze, miotałyby twoją piersią?"

Lecz te przestrogi przebrzmiewają napróżno. Prusy nie chcą tego widzieć, skąd i jak my wyczekujemy pomsty na nich, choć nie poprawy losu własnego. Oni patrzą w dal, ku Chinom, a nie widzą, że zbliża się chwila, w której kolos północny nasze skargi wygodnie obierze sobie za pretekst do obrachunku. *K. O.*

Głosy od Przyjaciół.

Rawicz, 15 września.

Szanowna Redakcyo!

Muszę Szanownej Redakcyi donieść o nowinie, która nas tutajszych Polaków w Rawiczu bardzo ucieszyła. A mianowicie, że od 1go września założył się u nas nowy polski skład, jakiego brako-

wało dotychczas, i który z pewnością wypierać zwycięsko będzie konkurencyę żydowsko- niemiecką. Pod firmą *„Poznański dom towarowy“* założył tu u nas p. Adam Ratajewski, były dysponent firmy Ignatowicz w Poznaniu, handel łokciowy i galanteryjny.

W czasach, gdy każdy nowo założony skład polski — to nowa placówka, nowy posterunek żywiołu rodzinnego wobec obcych przybyszów, — w tych czasach każda nowina, jak powyższa, przejmuje serca nasze żywą radością. Czas już bowiem, aby nasz kupiec i przemysłowiec, który dziś jest jednym z pionierów polskości pod względem społecznym i narodowym, — czas już, aby ten kupiec silną nogą stanął na prowincyi. Nie powinno być ani jednego miasteczka prowincyonalnego, w którem by brakło kupca i przemysłowca polskiego.

Nie potrzeba chyba dodawać, że poparcie swoich, poparcie rodaków, powinno towarzyszyć wszędzie naszemu handlowi.

Wracając do podanej wiadomości, dodaję, że skład p. Ratajewskiego przedstawia się bardzo okazale. mieści się bowiem w obszernych lokalach przy rynku i ma specyalne okna wystawowe na sposób wiedeński, jakich może w Poznaniu jest dużo, ale jakie dla nas, Rawiczan, są pierwszorzędną elegancyą i nowością. Oczywiście konkurencya żydowska — która czuje się zachwianą przez Polaka w swym dotychczas nieścieśnionym terenie, zacznie używać wszelkich sposobów, aby pozbyć się nie bezpiecznego przeciwnika. jakim jest wytrawny i obeznany z zawodem kupiec-Polak. Ale te sztuczki nikogo nie odciągną od popierania swego. Rawicz i okolica pokaże Gnieznu, które się skompromitowało niedawno popieraniem żydów, że u nas nietylko umieją wołać: popierajmy swoich, ale umieją ich *naprawdę popierać.* Nasz handel i przemysł górą!

A. Z.

* * *

Dolne Hejduki, (Górny Śląsk) 14. 9. 1900 r.

Szanowna „Praco!“

Zabieram się już dawno do napisania choć aby parę słów do naszej ukochanej „Pracy.“ I to zaraz na wstępie tego listu składam moje wielkie dzięki i życzenia na przyszłość za tak mężne i otwarte bronienie naszej ukochanej mowy i spraw narodowych polskich.

Jestem abonentem „Pracy“ od pół roku, i tak ją polubiłem, że teraz już nie mogę doczekać niedzieli, w którą po nią sobie zawsze chodzę, i z taką ciekawością ją czytam, że mi jeszcze tego zamało, choć zawiera w sobie taką obfitą treść i zawartość, że za tę 1 markę na kwartał to wynagrodzi jeden numer, gdy go się przeczyta z uwagą. Ja co to piszę to jestem wychowanek dzisiajszej Bismarkowskiej szkoły, bo dopiero piąty rok, gdym przestał uczęszczać do niej i choć teraz jeszcze dalej pracuję w zakładzie tego samego nazwiska, bo w Bismarkhucie, to jednak nie zgermanizowałem się.

Nasz dyrektor Kollman nas Polaków otacza swoją starannością, ażeby z nas Polaków zrobić niemieckich patryotów, lecz to mu się wcale nie udaje. On się bardzo stara, aby nas wciągnąć w sidła niemieckie, czego dowodem jest założenie towarzystw, które to jego staraniem powstały jak n. p. *„Kriegerverajn“*, *„Gesangverajn“*, *„Bürgerverajn“*, *„Alldeutscherverajn“*, i na ostatku *„Flottenverajn“* i to wszystko niby dla dobra polskich robotników robi. Wielce się nad tem smucić trzeba, że bardzo wielu Polaków do tych stowarzyszeń należy.

Choć ojcowie nieraz nie potrafią wcale mówić po niemiecku, ale swoim synom jednak pozwalają tam chodzić. Oj biada takim rodzicom, którzy tak mało dbają o wychowanie swych dzieci i tak powoli zatracają polskość na Śląsku.

Tak kończę ten list i proszę zarazem o umieszczenie w jednym z numerów „Pracy“, jeżeli będzie wart, bo nie wiem czy panowie redaktorzy będą umieli, aby przeczytać te słowa. Na końcu jeszcze wołam: „Niech żyje „Praca“ z Poznania!“

Józef . . . .

* * *

Langerfeld, 12 września 1900.

Szanowna „Praco!“

Niema tutaj Towarzystwa polskiego, ale że niema też stale przebywającej tu ludności polskiej, więc nie jest to potrzebne, zresztą są już dwa Tow. polskie w Elberfeldzie, dokąd za dziesięć fenigów dostać się można tramwajem. Sądzę więc, że przez założenie tu Towarzystwa byśmy się jeszcze więcej rozdwajali. Jedno Towarzystwo w Elberfeldzie istnieje już lat dziesięć, drugie zaś rok drugi, lecz co najgorsze, iż się one zwalczają. (Pisaliśmy już o tem. Red.) Mając jedne i te same cele w jednem i tem samem mieście, lepiej starać się powinni Polacy o założenie Towarzystwa w sąsiedniem mieście Barmen, co i dla nas, Polaków z Langerfeldu, byłoby korzystne, ponieważ chcąc przybyć do Elberfeldu musimy przez Barmen przejechać. Przytem niewątpliwie wstąpiłoby wielu Polaków przebywających w temże mieście.

Szkoda więc, że zamiast do tego celu dążyć, owe Towarzystwa się zwalczają, czego dowodzą te różne zajścia, które się ostatnio odbywały. Naprzykład zarzucano zarządowi jednego z tych Towarzystw, iż pieniądze zbierane na polskich nabożeństwach zabiera sobie, a oszczercami byli tacy, którzy byli także poprzednio członkami tegoż Tow. i mieli wtenczas jako członkowie prawo i obowiązek się o tem przekonać, zanim z tymi zarzutami wystąpili publicznie.

Owo zaś Tow., aby uniknąć tych niesprawiedliwych podejrzeń uchwaliło oddać swą kasę kościelną, tamtejszemu proboszczowi niemieckiemu, lecz pod warunkiem, aby nabożeństwa polskie co miesiąc regularnie się odbywały. Proboszcz chciał się jednakowoż wpierw przekonać, jak to dotąd stała kasa kościelna, więc Tow. zrobiło wyciąg z książki z poprzednich trzech lat. Okazało się otóż, że Tow. dołożyło z własnej kasy towarzyskiej kilkadziesiąt marek, co widząc ów proboszcz, kasy nieprzyjął, bo musiałby z swych pieniędzy dokładać.

Tak się niestety dzieje, u nas na obczyźnie, że zamiast łączyć się duchem, do wspólnej walki, którą nasz lud staczać musi nietylko w sprawach narodowych, lecz także i religijnych, jeden przeciw drugiemu występować usiłują!

Powracając do poprzedniego tematu, donoszę kochanej „Pracy“, iż tu w bliższej okolicy znajdują się jeszcze dwa Tow. polskie, i to w Remscheid i Solingen, jednakowoż jest jeszcze bardzo dużo tu w tych okolicach takich Polaków, co sobie Towarzystwa lekceważą, jakoby takowe dla nich nie istniały, i wolą ten czas niedzielny spędzać po kiermaszach i tracić zarobiony grosz na rzeczy bezwartościowe.

Pewnej niedzieli ujrzałem gromadkę Polaków, tu w Langerfeldzie przed kościołem. Zagadnąłem ich też natychmiast, i zaprosiłem, aby przybyli na posiedzenie do Tow. na przyszłą niedzielę do Elberfeldu, jakoż, aby ich tem bardziej zachęcić podałem im kilka numerów „Pracy“, prosząc, aby, gdy przyjdę do Towarzystwa mi je przynieśli i mogli nowe otrzymać, co mi też przyrzekli.

Lecz i do dziś nie widziałem ich ani też tu, ani w Towarzystwie i nie otrzymałem mych numerów „Pracy.“

Dawszy Ci, kochana „Praco“, powierzchowny obraz tutejszych stosunków a nie chcąc Cię dłużej temi żalami nudzić, kończę na dziś mych kilka słów, a może później będę mógł coś więcej napisać, da Bóg, coś pocieszającego...

Z szacunkiem

Twój wierny czytelnik i przyjaciel

Pöhl.

* * *

W obecnych ciężkich czasach, gdy najrozmaitsze czynniki sprzysięgły się na to, aby naszą narodowość wytępić, — gdy wreszcie, najgorsza ze wszystkich, lękliwość i słabość ducha opanowuje ludzi małej wiary we własnem naszem społeczeństwie, jest jednakowoż pociecha wielka, bo wielką nam zwiastująca przyszłość po pełnej cierpień teraźniejszości.

Pociecha ta płynie ku nam od młodzieży naszej, z serc młodzieńczych i młodocianych. Kwiat przyszłości wzrasta w tych sercach, choć go nikt nie pielęgnował.

Nasza młodzież uniwersytecka i gimnazyalna wie, że pismo nasze sprzyja jej narodowemu obudzeniu z letargu, bo w tem ocknieniu widzimy zadatek lepszej przyszłości dla narodu, ale że święta iskra narodowego uczucia płonie — i to na obczyźnie w tak młodocianych sercach, jak te, które dały popęd do napisania poniższych listów, o tem nie marzyliśmy.

Oto listy:

Z obczyzny.

Szanowna Redakcyo!

Jestem współczytelnikiem kochanej „Pracy“, którą mój tatka abonuje i która tak pięknie opisuje o naszej kochanej Polsce. Już sześć lat jesteśmy na obczyźnie, a serdeczne dzięki składam mojemu kochanemu tatce, że mnie nauczył czytać i pisać po polsku. Mogę więc teraz pojąć z pisma, jaką to nasza Ojczyzna wielką i wspaniałą była, jakich to wielkich poetów i bohaterów miała. Wpraw-

dzie jestem chłopczyna dopiero jedenaście lat życia liczący, nie mogę więc sobie jeszcze umyślić, w jaki sposób można naszej kochanej Polsce się przysłużyć, uważam, że mam jeszcze za mało sił, ale podaję tutaj dla nauki mały przykład, jak się mogą dziatki jedne od drugich czego nauczyć. Ja, ażeby mozoły mego tatki na marne nie poszły, nauczyłem moich młodszych dwóch braciszków czytać i pisać po polsku. Oni teraz także ze mną te uczucia przywiązania do kraju podzielają.

Jakaż to przyjemność, gdy mogę wyczytać dzieje Polski naszej świętej, poznać kim był nasz Adam Mickiewicz, Henryk Sienkiewicz, Tadeusz Kościuszko, Jan Sobieski i tylu innych. Doznajemy uczucia wdzięczności i dumy, bo nas niemieckie chłopaki zdaleka okrzykują „*Polak*.“ Ja się chełpię z tego, że mam to szczęście należeć do tego narodu, który chociaż dziś jest w nieszczęściu, ale nie upadł i do swoich praw powróci.

* * *

Na potwierdzenie prawdy, że to, co mój starszy brat podaje, jest rzeczywistem, przyłączam moje, choć nieudolne, pisemko, którem ja mały, bo dopiero dziewięcioletni chłopczyna, się nie zawstydzę. Muszę tu nadmienić, że ja jestem innego zdania jak mój brat. Ja się czuję obrażonym, gdy Niemcy krzyczą za mną „Pollake“, bo imię tak walecznego a nieszczęśliwego narodu, powinno z uszanowaniem być wymawiane, a nie lekkomyślnie. To ja ich też za to moją małą, lecz smagłą pięścią uczę grzeczności.*)

* * *

A ja najmłodszy, bo dopiero ośmioletni chłopczyk, się też uczę jak mogę, bo mi mój tatka obiecał, że pojedziemy napowrót do Polski. Więc abym się nie musiał wstydzić, żem się zniemczył, więc także czytam i piszę po polsku i uczę się po polsku katechizmu, bo ja chcę być takim Polakiem jak był Kościuszko w tej czerwonej rogatywce. (Pracuj i ucz się, drogie dziecko, a sposobności ci do tego nie zabraknie, abyś sobie zasłużył na wdzięczność narodu. Przyp. Red.)

Józef, Stanisław, Wawrzyn Zalewscy.

* * *

Przypisek od Redakcyi dla ministra Studta:

Jaki to podły los przyjmować upokorzenie od dzieci! Nieprawdaż, szanowny ministrze?

*) Mój mały hajdamaku na świat nie zwracaj uwagi i myśl tylko o tem, aby twoi rodacy o tobie kiedyś powiedzieli: „*to dobry Polak*“. — Przyp. Redakcyi.)

Między młotem i kowadłem.

(Ciąg dalszy.)

Przyznać jednak trzeba, że znakomici z nich kupcy. Każdy kacap to kupiec. Ta okoliczność tłumaczy, dlaczego tam żydzi nie mogą znaleźć dla siebie pola.

W podobny sposób, jak ową temperaturę, zbiera się tam również inne dane statystyczne, czy to o urodzajach, czy ilości bydła albo ludzi. Raz, że urzędnik niepojmujący znaczenia tej pracy, lekceważy ją tak dalece, że najczęściej szematy wypełnia dowolnie. Powtóre, mieszkańcy przywykli każdą czynność organów rządowych, podejrzewać o ukryte fiskalne cele; a ztąd zaraz rodzi się obawa podwyższenia podatków, liczby rekruta albo innych ciężarów — wolą więc kłamać.

A czy w takich warunkach zebrana statystyka ma jaką wartość?

Pisarz wójta gminy nie gorszy od gubernatora, profesor uniwersytetu wart żandarma.

I cóż dziwnego, że się tam fałszuje historya, fałszuje moralność, fałszują uczucia, słowem wszystko, aby całą godność ducha narodu zdeptać i rzucić pod stopy cara, w zamian za jego łaski. Nie można się nawet dziwić, że lud taką trucizną karmiony, nawet pomimo stopnia uniwersyteckiego, w orderach widzi całe swoje szczęście, a ztąd wiernie służy carowi jako gorliwy krzewiciel jego idei knuta. Zaledwie mała tylko cząstka lepszych żywiołów czasem potrafi uniknąć tej systematycznie szczepionej zarazy, lecz ci idą pod szubienicę lub na Sybir.

Ale nie wystarcza im samo kłamstwo; żądają, aby im wierzono i razem z nimi kłamano.

Bibikow — ów sławny Bibikow, model patryoty-Moskala — znęcając się nad litewskimi więźniami, powtarzał: „No, że się Polacy przeciw carowi buntują, to się jeszcze nie dziwię, bo są Polakami, ale że wy, wy prawdziwi Rosyanie...“

A niechnoby który mu zaprzeczył, że wcale nie pragnie tego honoru!

Ciekawym, coby Anglik, albo Francuz powiedział, gdyby w nich podobnie usiłowano wmówić, że są Chińczykami. A przecież między Litwinem i Moskalem, tak samo jak między Polakiem i Moskalem, nie mniejsza zachodzi różnica, jak między Francuzem i Mongołem.

Ale nie na tem jeszcze koniec.

Był czas za rządów Hurki, że nieprzestając na kagańcu cenzury, rząd od redakcyi pism polskich wymagał, aby drukowały jego artykuły jako własne, bez wzmianki o ich pochodzeniu. Dalej już chyba gwałtu posunąć nie można.

Nie dosyć więc, że kłamią sami, ale jeszcze drugich do kłamstwa zmuszają i to wbrew najświętszych uczuć narodowych.

Całe szczęście, że te artykuły najczęściej tak były pisane, że je czytelnik sam łatwo rozróżniał. Rząd o tem wiedział, a jednak to czynił. Może w części dlatego, że mu przyjemność sprawiało takie znęcanie się nad pokonanym, ale więcej z uwagi na zagranicę. Cudzoziemcy, nieznając tych zakulisowych sprężyn, gotowi uwierzyć w kłamane uczucia wdzięczności dla cara. Z tej samej więc racyi nakazuje się „dobrowolne“ składki na pomniki dla niego. A niechnoby się ktoś ośmielił nie dać tej „dobrowolnej“ składki, co jednak nie przeszkadza głosić światu o wielkiem z rządów cara zadowoleniu ludności.

(Dokończenie nastąpi.)

Kartki z podróży.

Wiesbaden, we wrześniu.

Rok rocznie wzrasta liczba tych, którzy w uzdrowisku Wiesbadeńskiem szukają ulgi dla swych cierpień. Statystyka pod tym względem jest ciekawa, tak naprzykład leczyło się lub bawiło w Wiesbadenie w r. 1897 około 70,000 osób — w ubiegłym roku było zwiedzających i kuracyuszów do 100,000.

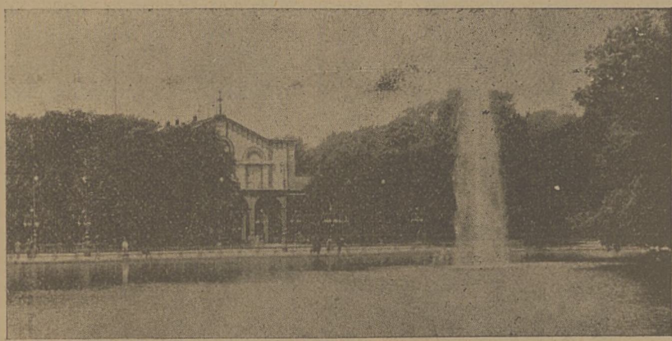


Glorieta na górze Nerona (Neroberg) w Wiesbadenie.

Jak już w przeszłym liście donosiłem, bawi tu dużo rodaków z wszystkich trzech zaborów, dlatego pobyt tu jest przyjemniejszym niż w innych uzdrowiskach niemieckich. Ma też Wiesbaden lekarzy Polaków stale tu praktykujących pp. dr. *Błociszewskiego* i *Fragsteina*.

Wspomniałem już w przeszłej korespondencyi o pięknym Kurparku — lecz nie jest to jedyne miejsce przyciągające przebywających tu kuracyuszów. Cała okolica Wiesbadenu zamieniona w jeden

piękny park. Wiesbaden położone u stóp Taunusa daje sposobność do spacerów w górę. Wycieczki te nie są męczące, ponieważ Taunus nie ma ani stromych skał, ani niebotycznych wierzchołków. Najwyższy wierzchołek, Feldberg, liczy 880 metrów, oprócz tego wszędzie się spotkasz z starannie utrzymanemi drogami i ścieżkami.



Partya w parku w Wiesbadenie z wodotryskiem.

Kto się nasycił widokiem wodotrysku w Kurparku wybiera się w góry, naprzykład na Neroberg. Z pagórka tego, wzniesionego 245 metrów nad poziom morza, roztacza się piękny widok na okolicę nadreńską. Srebrną wstęgą wije się w oddali Ren i Men i wyraźnie widać wieże i wieżyce Moguncyi. Najlepszym punktem dla pragnącego widoku jest glorieta tu zbudowana. Cokolwiek niżej od glorieti czyli świątyni Nerona położona grecka kaplica — zbudowana kosztem kilku milionów rubli. Jest to prawdziwe arcydzieło architektoniki.

Z Nerobergu, do którego dojść można pięknie utrzymaną drogą, lub na który wjechać można funikulerem, wiodą drogi w najrozmaitsze strony Taunusa. Spacerów więc nie brak. Taić jednak nie będę, że rozmaitością widoki tutejsze nie grzeszą. Nad nami piękny las bukowy, a gdy się widok otworzy — zawsze mamy przed sobą dolinę Renu.

Mogłyby te wycieczki znużyć, gdyby w okolicy Wiesbadenu nie było wielu innych miejsc godnych zwiedzenia.



Strona południowa tumu kolońskiego.



Wnętrze tumu kolońskiego.

Wspomnę tu o nich krótko. Najpierw więc pobliskie Biebrion z pięknym pałacem książąt Luksemburskich w stylu odrodzenia. Za pałacem rozciąga się obszerny park, przed pałacem płynie Ren. Zapuściłem się w park i napotkałem na zameczek rycerski, zbudowany w stylu średnich wieków. Kasztelan tego zameczku, były feldwebel wojsk hesko-nasawskich, skłonnym był do gawędy. Pytałem go, czy nie żal mu dawnych czasów, czy nie żal mu dynastyi dawniej tu panującej? — Spojrzał na mnie bystro, jakby się chciał przekonać, czy można mi ufać, a potem odrzekł dyplomatycznie: „*Mnie tu źle nie jest!*“

Z tej odpowiedzi możnaby wyciągnąć wniosek, że jakkolwiek słudze dawnych książąt źle nie jest, jest wielu, którzy nie bardzo są zadowoleni z rządów pruskich. Dodać jednak trzeba, że młodsze pokolenie pogodziło się już ze swym losem.

Warto też zwiedzić Moguncyą, choćby tylko dla obejrzenia tumu. Bardzo ładnie też położone Schlangenbad i pobliski Schwalbach. Niemcy zaś odprawiają prawdziwe pielgrzymki do „*National*denkmalu na Niederwaldzie pod Rüdesheimem. Widziałem i ja ten pomnik, ale zachwytu artystycznego we mnie on nie wywołał. Z postaci Germanii bije brutalność, a na jej czole jakby wyryta zasada bismarkowska: „*siła przed prawem.*“ — Przy tej sposobności na jedno zwrócę uwagę. Wielki naród niemiecki nie ma w swej mowie wyrażenia na „*naród.*“ Zapożyczać się musi u obcych i stawiając pomniki *narodowe* — obcą je nazwą musi określać: „*National.*“

Kto przebywa w Wiesbadenie nie omieszka też zajrzeć do Homburga, zbiorowiska Anglików i ulubionego miejsca pobytu księcia Walii. Przy takiej obfitości wycieczek czas upływa szybko i miło.

Pisząc o Wiesbadenie nie podobna nie wspomnieć o teatrze. Budynek teatralny jest prawdziwem cackiem pod względem budowlanym, a wewnętrzne jego urządzenie odznacza się gustem i pewną wspaniałością. Siły artystyczne teatru równają się najlepszym w Niemczech, a intendantura teatru jest grzeczną i uprzejmą dla przybyszów. Skoro się przedstawiłem zastępcy intendanta teatrów, p. radzcy dworu Winterowi, dano mi wstęp wolny. Byłem na dwóch przedstawieniach. Na dramacie i na operze. Grano sztukę Wildenbrucha „Die Tochter des Erasmus.“ Rzecz dzieje się w czasach pierwszych występów Marcina Lutra. Sam Marcin Luter nie występuje na scenie, lecz ciągle o nim mowa i w całej akcyi znać wpływ jego nauk. Głównemi figurami sztuki są: słynny uczony Erasmus z Rotterdamu, córka jego i zna-



Strona zachodnia tumu kolońskiego.

ny z owych czasów poeta i rycerz-awanturnik Ulryk von Hutten. Grano koncertowo — nie potrzebuję dodawać, że wystawa była nie tylko bogatą, lecz nadewszystko stylową.

Z większą jeszcze ciekawością, niż na sztukę poprzednią, poszedłem na następne przedstawienie. Dawano wielką romantyczną operę w trzech aktach, ułożoną według baśni Wielanda z muzyką Webera. Operę wprowadzono na scenę na życzenie cesarza niemieckiego i wystawiono według jego wskazówek. Według wskazówek cesarskich pracowali nad wystawieniem opery intendant królewski teatrów Georg von Hülsen, Józef Sohlar i Józef Lauff. Wystawa sztuki kosztowała 180,000 mk. Jest to suma wielka, lecz przyznać trzeba, że umiejętnie ją zużyto. „Oberona“ reklamowano tyle, że poszedłem do teatru z dużemi pretensyami — a jednak to, com widział, przeszło wszelkie me oczekiwania. Je-

żeli Wieland umiał stworzyć świat zaczarowany elfów, bogiń i boginiek, przedstawić błędnych rycerzy i cały wielki czar cudnej baśni rozlać w swym utworze, w teatrze wszystko to zamieniono w tak złudną rzeczywistość, że patrząc na te cuda dekoracyi, wydaje się widzowi, że istotnie przeniesionym jest w świat zaczarowany. Strona dekoracyjna sztuki jest szczytem tego specyalnego kunsztu, dodać jednak muszę, że właśnie to nadzwyczajne staranie się o efekta tak pochłania uwagę widza, że nieomal zapomina się o stronie muzycznej i śpiewnej sztuki, a warto istotnie wsłuchać się w łagodne i czarujące tony muzyki Weberowskiej i rozkoszować się śpiewem wybornych sił opery Wiesbadeńskiej. Czas jednak oderwać się od Wiesbadenu. Wsiadam na parowiec w Biebrich i płynę Renem do Koblencyi. Podróż ta interesująca. Winnice, strome skały z ruinami zamków, owianych urokiem legend i baśni czasów rycerskich. Loreleye, znane z Heinego, wiersza o dziewicy złotowłosej wabiącej rybaków — któżby nie znał tego wszystkiego! Od Koblencyi odbywam podróż do Kolonii koleją. Zatrzymuję się tu, aby nie po raz pierwszy podziwiać wspaniałe dzieło architektoniczne, gotyk w najczystszym stylu, tum koloński. Patrząc na piękne to dzieło w myśli porównuję je z tumem Medyolańskim. Dochodzę do przekonania, że każda z tych budowli ma właściwe sobie zalety. Strojniejszy, wdzięczniejszy, jak ziemia, na której wykwitł, jest tum Medyolański, więcej surowy, lecz poważniejszy, tum koloński. Nie podaję żadnych danych o wielkości i o sposobie budowy tumu kolońskiego, natomiast załączam ryciny.

Peregrinus.

WANDA.

(Do illustracyi albumowej.)

Czemu słonko tak radośnie na niebie zabłysło?
Czemu ptastwo tak wesoło pokwila nad Wisłą?
Czemu kłosy tak swobodnie na zagonach dzwonią?
Czemu rosa tak przesiąkła macierzanki wonią?

Czemu zatrząsł się w posadach gród Krakusa cały?
Lica mężów promienieją takim blaskiem chwały,
Jak w dniu onym, co go starce widzieli na oczy,
Gdy wytrysła pod dzirytem krew z gardzieli smoczej.

Dzielny Krakus śpi na łonie ziemi-rodzicielki,
Już nad kośćmi bohatera sterczy kopiec wielki.
Zanim skonał, pod straż ludu zdał trzy skarby swoje,
Gród wawelski, rdzawy oręż i cudną dziewoję.

Czarodziejskaż to uroda Krakusowej córy!
Poszła o niej wieść daleko, za lasy, za góry;
Ślą też króle i książęta posłów chmary całe.
Oj! nie wkroczy cudza stopa na Wawelu skałę!

„Twoją tylko, mój narodzie, ja chcę być królową“,
Rzekła Wanda, a lud podjął córę Krakusową,
W górę dźwignął ją na tarczy, w jej dziewicze ręce
Złożył stary miecz ojcowski i berło książęce.

Wtem ćma zbrojnych w ślad za wodzem bram zamku dopada,
A w powietrzu pokrakują czarne kruków stada.
„Otwórz, Wando!“ — wódz zawoła — „ród mój z dawnych czasów
Słynny w świecie — jam Rytygierz, król germańskich lasów.“

Nie ustraszą pięknej Wandy te junacze słowa,
Za miecz schwyci śmiałą ręką córa Krakusowa,
I w szyszaku z pióropuszem w hartowanej zbroi
Na koń skoczy: „Za mną“ — woła — „hej! władycy moi.“

Biegną druhy: dzwonią włócznie, miecz o miecz potrąca,
Na murawie zaplusnęła struga krwi gorąca.
Pierś królowej żarem kipi, rozgorzały lice,
Dłoń podniosła, z czoła twardą uchyla przyłbicę.

Wtem włos płowy z pod szyszaku w pierścieniach się stoczy,
Błysły usta koralowe i błękitne oczy,
Lica jasne, jak słoneczko; od blasku promieni
Uciekają w cwał Germany, jak gromem rażeni.

Wódz w rozpaczy: jegoż zmogła dziewa cudnej krasy?
Maż powrócić z piętnem sromu na germańskie lasy?
Toż mu lepiej ostrą szablę utkwić w własne łono.
Chwyta oręż... wnet murawa ściekła krwią czerwoną.

„Chwała! chwała!“ okrzyk ludu wzbił się pod niebiosy,
Głowy chylą się, jak w polu gną pszeniczne kłosy,
„Sławmy imię naszej Wandy, Krakusowej córy!“
Wieść przebiega z ranną rosą doliny i góry.

I dlatego tak radośnie słonko dziś połyska.
Wkoło grodu na pagórkach buchnęły ogniska,
I dziękczynne starym bogom składa lud obiaty,
Jak w dniu onym, gdy gadzinę zgniótł Krakus przed laty.

Kiedy naród tak radosny, gdzież się Wanda chowa?
Nie stanęła na krużganku córa Krakusowa
Z berłem, w płaszczu purpurowym i w koronie złotej,
Przygaszonej złocistemi jej włosów uploty.

Mija dzionek, mija nocka, spoczął gród znużony,
Wanda budzi ze snu dziewy dworskie i matrony;
„Chodźmy“ — rzecze — „tam, ku Wiśle, moje druhny miłe,
Niech się wpatrzę łzawem okiem w ojcowską mogiłę!“

Idą, idą, a jutrzenka zpoza mgły wybieży,
Rozpalone czoło Wandy chłodzi wietrzyk świeży.
Już stanęły ponad rzeką, tam — po drugiej stronie —
Głownia jeszcze na mogile niedotlona płonie.

Wanda pyta: „czy widzicie ten płomyk ofiarny?
Jakże cudnie on przyświeca w mroku nocy czarnej!
Tak i pamięć dni mych krótkich jasno tu zaświeci,
Nie zagasi jej w narodzie bieg długich stuleci.

Czas dokonać mej ofiary, bogom poślubionej,
Pamiętajcież o mnie, polskie dziewy i matrony;
Wolę stokroć, niech mnie fale wiślane pochłoną,
Niż obcego Krakusową obdarzyć koroną!“

Jęk się rozległ, płaczą matki, zawodzą dziewoje,
Klęczą wieńcem u nóg pani: „Próżno, siostry moje!“
Wtem zakipi nagle Wisła i przy zorzy wschodzie
Widać tylko nurt zmącony i kręgi na wodzie.

Przeminęły wieki chwały, skwarne przyszły lata —
A na chwałę swej królowej naród wieńce splata,
I lirnicy wysławiają wciąż struny brzmiącemi
Piękną Wandę, co nad Wisłą leży w polskiej ziemi.

Seweryna Duchińska.



Na Jasnej Górze.

Setki tysięcy ludzi przybywa co roku na Jasną Górę, aby tu u stóp cudownego obrazu Matki Najświętszej wymodlić dla siebie odpuszczenie grzechów i błogosławieństwo Boże.

Jadą tam wszyscy, lub piechotą zdążają w świętem uniesieniu pobożności i przez całą drogę z niecierpliwością wyglądają wież klasztoru Jasnogórskiego.

Jeden z pisarzów, który wraz z pielgrzymami udał się na odpust Wniebowzięcia Najświętszej Panny, bardzo pięknie opisuje to, co widział, co słyszał i co uczuwał tak w drodze, jak również i na Jasnej Górze.

„Jedziemy koleją — pisze on. — Wyjrzałem z wagonu. Brzask wychylał się już od wschodu, zataczał przezroczem coraz szerzej i szerzej, otarł błękit nieba i ziemię z mgieł nocnych i świecił...

Na dworze zaczynało jaśnieć, migotać, na polach zaczynało błyszczeć od ros posianych, aż wreszcie wzbiło się słońce pogodne, krzepkie, rumiane i rozrzuciło snop złotych promieni nad... Jasną Górą.

Dojeżdżaliśmy więc.

W przedziale, gdzieśmy siedzieli wszczął się ruch; ludzie spieszyli do drzwi, do okien, spojrzenia ich unosiły się w górę, poczęły teraz świecić łzy, przelatać westchnienia, tuż za mną rozległ się zachwyt i szept modlitwy, aż nagle w całym wagonie rozbrzmiała pieśń rzewna i popłynęła wężem wagonów, rosnąc z ust do ust, potężniejąc w locie.

Pociąg pędził teraz na skrzydłach pieśni, pieśni pobożnej.

Do mnie dziwnie mówi każda pieśń taka. Kocham gromady, gdy śpiewają, śpiewałbym społem i modlił się zań — bo mi nijak wtedy iść z osobna, pojedynkiem, bo w tej ciżbie głosów i mój wtór ujście znajdzie, i moja prośba skuteczniejszą się stanie. Więc zacząłem prosić wraz z innymi.

Z podnóża Jasnej Góry odpowiedziały nam echa i dzwony głoszące jutrznię.

. . . .

Garść przybyłych ze mną pątników z Wielkopolski utonęła w fali głów, oblegającej klasztor, jak drobny ruczaj wśród morza.

Mimo wczesnej pory, zarówno obszerny plac, jak sąsiednie ulice i podsienia poblizkich domostw roją się od gromad ludu. Za murem, za blankami, na całej przestrzeni śródklasztornej tłok i gwar.

Ucho chwyta w przelocie i rozróżnia wszystkie niemal narzecza od „mazurzenia“, do pieściwej wymowy włościan z pod Krasnegostawu. Więc jędrna, rażna mowa Skalbmierzaka. więc cichy, jakby przytłumiony, głos Kurpia, miłe uchu szeplenienie Górnoślązaka i — przygnębiony głos, niby żal serdeczny, wielkopolskiego kmiotka i t. d.

Tłum chwieje się, jak niwa kłośna, płynie, rozlewa, rzekłbyś: rośnie w oczach i coraz to nowej barwy kwieciem zakwita.

Bo oto i od Starej Częstochowy i od Kamienicy Polskiej, od strony Olsztyna i Żarek, od Opola i Gniezna, od kościołka św. Barbary i od kaplicy świętego Rocha ciągną kompanie za kompanią. wieją chorągwie, błyszczą obrazy, dzwoni pieśń za pieśnią, litania za litanią rozbrzmiewa.

Jak okiem sięgnąć — tłum spieszący, szepcący pacierze, gnący kolana na sam widok wielbionych czcią gorącą murów.

W dali skrzypi wąż furmanek z tobołkami pątniczych gromad.

I tak ciągle, nieprzerwanie.

Czasem, jakby na dany znak, cichnie w tym tłumie; czasem obnażone głowy pochylają się ku ziemi i wtedy z ciszy wylata odłączony głos przewodników, zaświeci na murach biały habit witającego Bożą czeladkę Ojca Paulina i szept modlitwy z ust kapłańskich przemknie w powietrzu, poczem znowu zrywa się pieśń tłumu i rozkołysana tysiącem piersi pada u stóp Panienki Jasnogórskiej.

W tłumie przeważają kobiety z laskami w ręku, z węzełkiem na plecach, i strojne, i bose, jak Bóg dał. Twarze uznojone, ale oczy płoną... Mężczyzn widać mniej; być może, że się tak tylko wydaje, gdyż strój kobiet barwniejszy, łatwiej wpada w oko, a odzież, chłopska, przykro przyznać — już nie ta, co bywała...

Jedynie kompanie z kieleckich stron mienią się tęczą barwnego stroju, aż oczy lgną! Zdaleka poznasz, kto zacz!

Oto kompania zpod Dużego Księża.

Chłop w chłopa w białej z czerwonym kołnierzem sukmanie, czarnym szutaszem obszytej, w rękach czapki czerwone lub kapelusze z odwiniętem skrzydłem, biała ufałdowana nieco, pod szyją na świecącą spinkę spięta koszula, płócienne spodnie w czerwone prążki, but po kolana na obcasach. Idą mimo zmęczenia żwawo, z podniesioną pogodnie twarzą, pewni siebie, bo to z tego chłopa „kawałek szlachcica — nie tańczy po ziemi, jeno po tarcicach.“

Tuż za nimi drużyna z pod Pińczowa. Krój odzieży podobny, tylko kolor sukman brunatny, z wyszyciem sutem na „suce“*) i rogatywki o szerszych, przypłaszczonych rogach

Między tymi trafiają się czarni w kaszkietach i odbijają od barwnego otoczenia, niby zwiędły liść. Stosunkowo jednak surdutowych niewielu.

Skrzywdziłbym strony sandomierskie. Idzie „staszowszczyzna“, lud z okolic Staszowa, Połańca i hen, powiślem ku Zawichostowi zamieszkały. Dziewczęta pod sznur w gorsetach, z warkoczem spuszczonym, zamężne w chustkach kolorowych, włos obcięty na „Polkę“, mężczyźni bez różnicy wieku w niebieskich, żupanowym krojem, świtkach lub sukmanach, z mosiężnemi haftkami, rogatywkach z błękitnego sukna i pasach do trzosu zbliżonych.

Lud dorodny, bujny jak rola, na której siedzi. Ubogo przy nich wyglądają na oko kompanie zpod Bodzentyna, a bardziej jeszcze po chudopacholsku, w grubych siermięgach, wieśniak z Opoczyńskich krajów.“ Ma bo też on i takie kraje: „korzec siejesz — kopę zbierzesz, kopa korzec daje!“ Nie równać im się z miechowskim, a bodaj z sandomierskim chłopem. Tamtym chyba jeden Księżak zpod Łowicza dostoi, lub Kujawiak, a może i chłop wilanowski; taki właśnie jest ten, co obok mnie z dużą książką do nabożeństwa podąża.

Nie opisuję stroju naszych przygnębionych Wielkopolan i rezolutnych Wielkopolanek — gdyż znane nam ich stroje, a zresztą nie pora na opisy odzieży.

Dzwony klasztorne odzywają się coraz częściej i głośniej, z wnętrza świątyni dolata śpiew donośny... Fala głów porywa i niesie. Teraz nikt już niema woli własnej, tłum rozkazuje, każe iść i sam płynie. Nie sposób przystanąć, nie sposób głowy zwrócić.

Stąpasz, pochylasz się, przystajesz i znowu toczysz się z falą.

Tylko z krużganków przedklasztornych od bramy wjazdowej gonią za tobą żebracze, piskliwe, jednostajne głosy:

— Do Opatrzności Bożej!

— Do Przemienienia Pańskiego!

— Pod Twoją obronę uciekamy się!...

. . . .

Bór pochylonych głów i postaci, mnóstwo świateł.... Nad klęczącem pogłowiem ludu niby baldachin rozpięty z jasności, bo i światło dzienne, padające od stropu przez liczne oszklenia, i łuna jarzących się przed ołtarzami świec i migotliwe płomyki zawieszonych pod sklepieniami lampek i żyrandoli...

Wśród przeciągłych szeptów modlitwy rozlegają się miarowo dźwonki chłopców, służących do mszy św. i głosy błogosławiących lud kapłanów. Msza wychodzi po mszy...

Do głównej kaplicy z cudownym wizerunkiem Bożej Matki, dojść nie sposób. Nie tłok tu już, ale warstwy ludzi, rozłożonych krzyżem, pełzających po kamiennej posadzce, czołgających się, wznoszących ręce i usta, szlochających szczerym płaczem.

Rój westchnień pobożnych bije o mury:

— Królowo Anielska!

— Panno Najświętsza!

— Pocieszycielko Nasza!

— Matko serdeczna — pociesz! wspieraj; wstaw się za nami!

Tak się modlą wszyscy.

— Królowo korony polskiej, módl się za nami, — wtóruje nasz pątnik wielkopolski w uniesieniu...

Nagle wszystko zastyga w ciszę... i tak trwa.

Bo oto rozsuwają się osłony Świętego Obrazu... Dobra Twarz Bogarodzicy patrzy na lud swój wierny — i cieszy się.

Cisza... Nagle z hukiem kotłów i pierwszym tonem olbrzymich organów z setek, z tysiąca piersi wyrywa się okrzyk, — to wielki hejnał serc ludzkich, a brzmi on jak spiż:

— Witaj, Matko! Witaj, o Panno Nasza!

Cały kościół łka, od nawy po krużganki.

W tym wrzątku brzmień, smutna myśl ustaje — modlitwa sama się rodzi:

— Witaj Królowo!

Ks. Lask...

* * *

Piękny to obraz i opis jego wierny. Tak co roku bywa na Jasnej Górze, tak się tam modlą tysiące. setki tysięcy pobożnych pielgrzymów!

Serdeczne podziękowanie koresp. za łaskawą pamięć o nas i naszych czytelnikach, dla których powyższy opis szczerą rozkoszą. Przyp. Red. „Pracy“.

*) „Suką“ nazywa się tu kaptur na sukmanie.

Przemowa rannego żołnierza do Ojczyzny.

Żołnierz.

Krwi mojej, Matko, żądałaś droga,
Patrz jak z ran moich krew wytryska [czysta. —
Zanieś te krople przed oblicze Boga;
Resztę niech ziemia wypije ojczysta.

Ojczyzna.

Wypłaciłeś się synu Twej Matce,
Już anioł niebios krople krwi twej chwyta;
Lecz cóż mam w twojej opowiedzieć chatce,
Gdy żona z dziećmi o ciebie zapyta?

Żołnierz.

Idź, powiedz, żem poszedł, gdzieżeś mi [wskazała,
Że słodko ginąć w świętej za kraj wojnie,
Że z zgonu mego spłynie na nich chwała,
Ty bądź im ojcem, ja umrę spokojnie.

Ojczyzna.

Pójdź, w me objęcia, synu ukochany,
Na śmierć niezbędną skazan od powicia;
Nim duch twój starga cielesne kajdany,
Zmień lepsze przejście do nowego życia!
Widzisz tę jasność, co z obłoków strzela?
Tam Herub wrota do niebios otwiera!
Tam jest Ojczyzna wiecznego wesela,
Spiesz do niej, synu! z wieńcem bohatera!

M. L.

CZĘŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy).

Emigrant i wygnaniec.

Stanisław z najlepszą w świecie miną, wesoły i swobodny, robiąc oczyma jakiś znak porozumienia żonie, którego jednak Konstancya zrozumieć nie mogła, odpowiedział w sposób wbrew wszelkim oczekiwaniom przeciwny.

— Szczęśliwy jestem, że mogę zadość uczynić pani szambelanowej, chociaż co do jego słuszności możebyśmy się z sobą pospierali.

— Oh! nie spierajmy się, nie spierajmy... nie chcę o niczem słyszeć, *ferszte kaj Wort*... więc dajesz mi pan słowo, że nie będziesz robotnikiem?...

— Już nie jestem!

— A co, nie mówiłam, Kostuniu — zawołała szambelanowa klaszcząc w ręce — że on sam czuje, jak to dla niego niestosowne.

— O! przepraszam, pani szambelanowo, nie uważałem tego zajęcia za niestosowne dla mnie, ale... może mnie uznano za niestosownego do tego zajęcia...

— *Mais c'est la même chose!*

— Nie zdaje mi się... Wypędzono mnie z fabryki!

— Ach! — zawołała Konstancya i chciała coś mówić dalej, ale Stanisław spojrzał na nią tak uspokajająco, że ją wszelka obawa opuściła.

— Wypędzono pana!... co za szczęście! — zawołała ciocia Giefia.

— Będę musiał się utrzymywać z pióra.

— Z pióra!... co za szczęście!... pióro to zawsze szlachetniejsze, niż rzemiosło!

— Będę zarabiał trzy do czterech talarów tygodniowo, jako kopista...

— Co za szczęście!

— Będziemy mieli przecież zawsze jaki taki kawałek chleba i ziemniaki w mundurach do niego...

— Co za szczęście! — zawołała jeszcze szambelanowa.

Ale spostrzegła się niebawem, że kartofel w swym naturalnym uniformie nie jest tak wielkiego szczęścia wyrazem, i dodała z obrzydzeniem:

— W mundurach!... a pfe!...

— Jeżeli pani szambelanowa nie lubi, można je będzie obrać z mundurów...

— To co innego!...

— Pani szambelanowa z Kostunią — mówił dalej śmiejąc się Stanisław — będą zajmowały się naprzemian jedna kuchnią, druga dzieckiem i porządkiem... która zechce jeść ziemniaki bez mundurów, to je sama dla siebie i dla wszystkich oskrobie.

— Gotować, piastować, zamiatać, skrobać kartofle! ależ to okropność! — jęknęła pani Wieluńska.

— Ha! cóż robić, wszystkiego tego nie byłoby, gdyby mnie nie wypędzono z fabryki...

— To prawda!.. — potwierdziła ciocia Giefia.

— Tam miałem piętnaście talarów tygodniowo... — szkoda!

— Oh! szkoda!... nieszczęście prawdziwe!...

— Więc pani szambelanowa powiada, że to nieszczęście, że mnie wypędzono z fabryki?

— Powiadam, że nieszczęście... jakto?... ja powiadam, że to nieszczęście?... — załamała ręce pani Wieluńska — eh! doprawdy w tem niemieckiem mieście, ja już sama nie wiem, co powiadam, a czego nie powiadam, *ferszte kaj Wort, weisse Bär!*

— No... kiedy tak, to mogę panią szambelanowę i Kostunię pocieszyć... nie wypędzono mnie z fabryki.

— Co za szczęście! — klasnęła w dłonie szambelanowa.

— Nie będziemy jedli ziemniaków w mundurach, będziemy mieli byt dostatni.

— Co za szczęście!

— Domyślałam się, żeś żartował — wtrąciła Konstancya.

— O przepraszam, nie wszystko żartowałem — odrzekł wesoło Stanisław — teraz na ciebie moja droga pani kolej zdziwienia...

— Nie domyślam się, czemu bym się dziwić mogła... pozostajesz nadal robotnikiem...

— Nie pozostaję...

— Czemże więc będziesz?...

— Jestem współwłaścicielem fabryki, w której jako robotnik pracowałem do dziś rana...

— Ależ to niepodobna!... mówiłeś, że fabryka warta sto tysięcy talarów.

— Mniej więcej... to znaczy, że moja jej część warta połowę tego.

— Jakże to się stało, mój mężu?...

— Wygrałeś pan na loteryi saskiej — krzyknęła ciocia Giefia — pewno na numer 11,111, bo mnie się jeszcze w Zaskalu śnił ten numer, i zapisałam go sobie, żeby kupić zaraz jak tu przyjadę... musi to być szczęśliwy, bo się śnił i ma same jedynki... na nieszczęście nie miałam już pieniędzy, a choćbym miała, to niewiedziałabym jak się dogadać.

— Rzeczywiście wygrałem... ale nie na ten numer.

— Na któryż?...

— Na żaden... nigdym jeszcze na żadną loteryę nie stawiał.

— Więc jakże pan mogłeś wygrać?

— Poszczęściło mi się.., Dziś rano podczas roboty przyszedł do mnie właściciel fabryki i zaczął ze mną rozmawiać. Pamiętasz Konstancyo, że w Gradowcach jeszcze myślałem nad pewnym wynalazkiem, którego pierwsze próby wiodły mi się dość szczęśliwie i szło już tylko o to, żeby wynalazek zrobić mniej kosztownym i łatwiejszym. Okazało się z rozmowy, że nad tem samem myślał mój pryncypał. Zakomunikowaliśmy sobie wzajem nasze myśli. Okazało się, że on szedł inną drogą, a ja inną, ale gdyśmy skombinowali nasze myśli, spostrzegliśmy obaj, że tylko tyle do ich uzupełnienia było potrzeba, żebyśmy się zwierzyli jeden przed drugim. On miał to, czego mnie brakowało, ja miałem to, czego w jego sposobie brak było. Jednem słowem myśl stała się rzeczywistością, projekt czynem. Zrobiliśmy zaraz próbę, udała się. Jesteśmy właścicielami nowego sposobu wyprawiania skór na wytworne roboty, tańszego znacznie od wszystkich znanych, dającego skórę miększą, elastyczniejszą, trwalszą. Sposób taki, to majątek, bo prawo własność wynalazków na czas pewien na rzecz wynalazców zastrzega. Pryncypał mój zapalił się i chciał odemnie zaraz odkupić moją połowę tej własności. Wyznaję, że nie potrafiłem oznaczyć ceny. Wtedy zaproponował, żebym został jego wspólnikiem i żebyśmy razem eksploatowali wynalazek. Odparłem, że nie mam pieniędzy, on rzucił myśl, że mi odda połowę swej fabryki na własność, szacunek jej z przyszłych zysków odbierze, a cobyśmy zyskali więcej, tem się naturalnie dzielić będziemy. Układ był zbyt dobrym, żeby go nie przyjąć... przystałem... poczciwy Niemiec nie puścił mnie, póki nie poszedłem z nim do notaryusza, gdzie spisaliśmy kontrakt, i oto z robotnika zostałem odrazu właścicielem.

— *Ferszte kaj Wort!...* ależ to jak z *Tysiąca nocy!...* — zawołała szambelanowa.

A stary rotmistrz powstał z krzesła, z którego przysłuchiwał się rozmowie całej i opowiadaniu Stanisława, i rzekł:

— To Bóg wam zapłacił za Zaskale, dzieci moje!

Kolej zdziwienia przyszła na Stanisława, który dopiero teraz miał się dowiedzieć o niegodnem postępowaniu panów Kettelerów.

Że po utracie Zaskala wielkiego rąk łamania nie było, nietrudno się Czytelnikowi domyśleć.

Stanisław uznał także, jak rotmistrz, że do czasu aż przyjdzie pora wymiaru sprawiedliwości i panowania prawa na polskiej ziemi, o odzyskanie Zaskala, albo jego wartości, żadnych kroków czynić nie można, gdyż toby pociągnęło za sobą zabranie wioski przez rząd, a lepiej w każdym razie, żeby ziemia pozostała w rękach polskich, choćby nawet ta-

kich jak ręce pana markiza i jego godnego syna, by z nich przejść kiedyś w ręce zacniejsze, niż w ręce wrogów, którzyby z niej utworzyli donacyę dla jakiego jenerała i nowe ognisko moskwityzmu na ziemi polskiej.

— To była właśnie moja myśl, kiedym Zaskale oddawał Kettelerom — zawołał słysząc te słowa rotmistrz — gdyby z tej walki, którąśmy przebyli, nasza strona miała wyjść zwycięzko nie byłoby obawy o zwrot fideikomisu, panowie Kettelerzy oddaćby go musieli, a sądzę nawet, że oddaliby go bez przymuszania. Lecz jestem człowiek stary i wiele już ruchawek widziałem, wolno mi więc było przypuszczać, że zostaniemy jeszcze raz pokonani. W takim wypadku, gdybym był Zaskale powierzył rękom prawnym i czystym, jestem pewny, że rząd wydarłby je z nich, gdyż pozorny właściciel zapewne samby się także nie utrzymał tak ostrożnie, żeby się rządowi nie narazić; u takich jak Kettelerzy ziemia zostanie... a czyja później będzie, to w boskich rękach!...

Po tej rozmowie rodzina tułacza zgodziła się, żeby zdać wszystko na wolą bożą i żeby o odzyskaniu Zaskala mowy już w jej gronie nie było.

Nie wszystko jednak tak dziać się może, jak ludzie proponują. W kilkanaście dni po tych wypadkach miała być znowu mowa o odzyskaniu Zaskala.

XVI.

Pewnego dnia, kiedy Stanisław był w fabryce, szambelanowa *ferszte kaj Wort* przechadzała się po Grossgartenie, tylko rotmistrz z Konstancyą byli w domu, zapukano do drzwi i na zaproszenie do wejścia, ukazała się najprzód łysina, potem pobożna minka, a potem cała maleńka i pochylona postać i wymówiła słowa chrześciańskiego pozdrowienia:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Gdyby nie ta łysina, gdyby nie ta minka pobożna, gdyby nie te słowa polskie, każdy kto znał Fritza Hahna przysiągłby, że to Fritz Hahn; było to jednak zapewne przypadkowe podobieństwo, gdyż Fritz Hahn nosił perukę, miał inną minę i z wyjątkiem chwil szczególnejszych nie rozumiał i nie mówił ani słowa po polsku.

Przybyły ukłonił się grzecznie i stał w milczeniu niedaleko progu.

Konstancya wpatrywała się w niego bacznie, twarz zdawała się jej znajomą, nie była jednak pewną, czy go sobie przypomina dobrze.

— Pani mnie poznaje? — rzekł przybyły.

Zapytanie i głos dokonały reszty, utwierdziły domysł Konstancyi i przed jej oczyma żywo stanęła scena, która się odbyła w jej pomieszkaniu w nocy wybuchu powstania w Gradowicach.

— Pan Rafał Fajski! — zawołała instyktownie zbliżając się do dziadka, bo ją widok tego człowieka mimowolną obawą przejmował.

— Ja jestem — odrzekł gość — i jeżeli mi państwo pozwolą spocząć, powiem zaraz, po co przybyłem.

Konstancya wskazała mu krzesło.

— Przybyłem umyślnie z Podola do Drezna — rzekł Fajski — ażeby państwu spłacić dług, jak każe Chrystus Pan nasz Zbawiciel.

— Nam?... dług?... ależ pan nam nic nie winieneś...

— Dług wdzięczności...

— Sądzę, że nawet i wdzięczności nie winieneś nam pan... za co?

— Darowaliście mi życie, które było w waszych ręku...

— O ile sobie przypominam — odrzekła Konstancya — to nie my, a raczej nie mój mąż... ale dowódca Klin życie panu darował, uznając, że nie było dostatecznych dowodów winy...

— To prawda, pani, ale ten już przed sądem bożym... Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci... Za to, co on dla mnie uczynił, Bóg mu już płaci, a ja codziennie modlę się za jego duszę... Dług wdzięczności, którego jemu spłacić nie mogę, chcę spłacić wam, tobie pani i twojemu mężowi. którzyście byli przy tem zajściu obecni.. tak kazał Chrystus Pan nasz Zbawiciel, którego imię niech będzie pochwalone na wieki wieków...

— Delikatność pańska każe mu płacić długi, które nie są długami — odpowiedziała Konstancya — nie jesteś pan względem nas obowiązany do niczego.

— To rzecz mego sumienia, a ono mi mówi, żem grzeszny człowiek i dłużnik wasz, więc pozwólcie, że za dobre dobrem wam odpłacę... Zgadzasz się pani?

— O ile się to zgadzać będzie ze słusznością i z godnością naszą, o tyle tylko i ja i mój mąż zgodzić się możemy.

— Oh! grzeszyłbym ciężko, gdybym pomyślał coś takiego, co się nie zgadza ze słusznością i z godnością mych dobroczyńców...

— Nie posądzałam pana o to... mów pan...

— Czy pozwoli pani, że pytać będę?...

— Pytaj pan...

— Wszak prawda pani, że ludzie niegodni i grzeszni... nie pomni na Pana i Zbawiciela, który nas odkupił... przywłaszczyli sobie niesłusznie majętność waszą Zaskale?

— Nie panie... dziadek mój oddał im ten majątek dobrowolnie.

— Czy sprzedał?

— Nie, lecz oddał prawnie, w sposób najformalniejszy.

— Za zapłatą?

— W takim razie byłaby sprzedaż... był to akt prawny innego rodzaju.

— Rozumiem... fideikomis.

— Może, ale do czegoż prowadzi ta rozmowa?

Rafał Fajski powstał, podniósł prawą rękę z wyciągniętemi dwoma palcami do góry, i wyprostowawszy się tak, że się znacznie wyższym wydawał, niż był zazwyczaj, rzekł uroczyście:

— Przysięgam na rany Tego, który za nas umarł na krzyżu, a którego imienia niegodne są wymówić usta moje, że ja dla was ten majątek odzyskam!...

Konstancya stała milcząca i zdziwiona, rotmistrz wpatrywał się badawczo na wzrok przysięgającego, który dzielnie wytrzymywał jego spojrzenie.

Rafał Fajski usiadł napowrót i znowu zaczął swoje badania.

— Więc odstąpienie tego majątku zostało zawarowane jakimś aktem.

— Aktem formalnym...

I akt ten znajduje się w ręku markiza de Kettelera w Łaszczyńcach?

Tak powoli dowiadywał się różnych szczegółów towarzyszących tej sprzedaży, a niektóre z nich były snać dosyć ważne, bo gdy je usłyszał Fajski, bystrzej zaświeciły jego oczy.

Rotmistrza zniecierpliwiła ta indagacya. Skinął na wnuczkę, żeby nie odpowiadała więcej i od tej chwili sam już prowadził z niespodzianym gościem rozmowę.

— Panie Fajski — rzekł — wiesz, że cię nie znam... powiedz mi, coś za jeden?...

— Grzeszny sługa boży, — odpowiedział Fajski z pokorą.

— Zkąd ci przyszła myśl mieszania się w tę sprawę?...

— Powiedziałem już... z wdzięczności.

— Innych powodów nie masz?

— Żebym tak jasności niebieskiej, której niegodny jestem, przy skonaniu nie oglądał, jeżeli mam jaką myśl ukrytą prócz chęci uczynienia dobrze bliźnim moim, których kochać jak siebie samego nasz Pan Zbawiciel przykazał.

— A jakiemiż to środkami wydobyć myślisz z rąk Kettelerów Zaskale?

— Środki te są moją tajemnicą...

— Powiedzieć ich nie możesz?

— Nie mogę.

— Będą uczciwe?...

Rafał Fajski powstał, znowu podniósł w górę rękę i wyciągnął dwa palce i zaczął przysięgać:

— W imię Tego, który ludzkość męczeńską krwią swoją odkupił...

Ale nie dał mu dokończyć dziadek Konstancyi.

— Za pozwoleniem, panie Fajski — rzekł — jesteś człowiek pobożny.

— Grzesznik jestem, ale pełnię przykazania boże, jak mogę.

— A umiesz je na pamięć?... pamiętasz drugie?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.

Eryk Mansell.

— On już tu jest!

Ferris rzucił cygaro i spojrzał na Byrda, stojącego przed nim.

— Więc nie miałeś pan żadnych trudności?

— Nie. Zachowywał się tak, jak gdyby każdej chwili był przygotowany na nasze wezwanie. Zaledwie mu powiedziałem, że pan życzysz sobie zobaczyć go w Sibley, gdy wstał, zamienił znaczące spojrzenie z Godmanem, przygotował trochę bielizny i oświadczył, że jest gotowym do odjazdu.

— Nie pytał o nic?

— O tak! Chciał wiedzieć, czy jestem detektiwem, a gdy potwierdziłem to, zapytał, czy ma stawać przed sądem jako świadek. Nic mu na to naturalnie nie odpowiedziałem.

— Niechaj wejdzie, — rzekł Ferris.

Po upływie kilku minut wszedł Eryk do pokoju. Piękna twarz młodzieńca nader korzystne na adwokacie wywarła wrażenie.

— Przepraszam, — zaczął Ferris, — że trudziłem pana tu dotąd. Ale jestem zbyt zajętym, aby odbywać podróże. Musiałem więc.....

— Służę panu, — przerwał Eryk krótko. — Czego pan życzysz sobie odemnie?

Tak samo mówił wówczas Hildret, ale słowa te brzmiały dziś zupełnie inaczej. Hildret był słabym, wahającym się, bojaźliwym, Mansel natomiast spokojnym i pewnym siebie.

— Obecność pana jest nam potrzebną, — zaczął znowu Ferris, spodziewamy się bowiem, że wyjaśnisz nam niektóre szczegóły gwałtownej śmierci twej ciotki. Jako krewny pani Klimmer musisz pan sobie życzyć, aby morderca nie uszedł zasłużonej karze.

Byrd czekał z biciem serca na to, co Mansell teraz powie, ale daremnie. Młodzieniec milczał.

— Będąc siostrzeńcem zamordowanej i spadkobiercą jej majątku, — mówił Ferris dalej, powinieneś pan przecież życzyć sobie, aby winnego ukarano.

Eryk zdawał się nie słyszeć tego, co Ferris powiedział. Stał z zaciśniętemi ustami i nie myślał nawet odpowiedzieć adwokatowi, który też już nie pytał go dalej.

— Wiesz pan zapewne, — rzekł Ferris po chwili, — że pewien młody człowiek z Toledo, Walery Hildret, jest uwięzionym, bo podejrzewaliśmy go o zbrodnią, popełnioną na twej ciotce. Ale przed kilku dniami znalazły się dowody przeciwko innej osobie, i aby się przekonac, czy tak jest rzeczywiście, wezwałem pana do Sibley.

— I któż jest ową inną osobą, — zapytał teraz Eryk drżącym głosem.

— Nie zgadujesz pan tego?

— Nie! Nie lubię zagadek.

Ferris zmieszał się nieco. Badawczy wzrok Mansella draźnił go, pomimo to jednak imponował mu jego spokój i powaga.

— Zaraz, zaraz, — rzekł, — chciałbym tylko jeszcze stawić panu kilka pytań, na które możesz mi, jeżeli chcesz, odpowiedzieć. Nie zmuszam cię przecież do tego, bo powiedziałbyś może coś takiego, czegobyś później żałował.

— Proszę, mów pan!

— Więc gdzie się pan znajdowałeś, gdy usłyszałeś po raz pierwszy o zamordowaniu twej ciotki?

— W mojem biurze, w fabryce!

— A tego dnia, w którym zbrodnia została popełnioną, byłeś pan także w fabryce?

— Nie.

— Gdybyś mi pan raczył powiedzieć, gdzie się wówczas znajdowałeś, to wyrządziłbyś wielką przysługę nietylko nam, ale i samemu sobie!

— Jakto, sam sobie? — powtórzył Eryk zdumiony i spojrzał mimowoli na Byrda, który patrzał na niego z serdeczną litością.

— Wierzaj mi pan, — rzekł Ferris, — że to dla wszystkich najlepiej będzie, jeżeli otwarcie wyznasz, gdzie tego dnia przed południem byłeś!

— Czy pan tego jeszcze nie wiesz? — zawołał Eryk, nie spuszczając oczu z twarzy policyanta.

— Zdaje nam się, że znajdowałeś pan się w naszem mieście!

— Ciekawy jestem, zkąd to przypuszczenie! Nikt mnie tu widzieć nie mógł! Przed trzema miesiącami odwiedziłem moją ciotkę, i od tego czasu jestem dziś po raz pierwszy w Sibley.

— Nie potrzebowałeś pan być w mieście, aby iść do domu pani Klimmer!

— A jaką drogą można się tam z dworca dostać? — zapytał Eryk, blednąc.

— Czy pan wysiadłeś z wagonu na dworcu w Sibley? — rzekł Ferris, nie odpowiadając na jego pytanie.

— Tego nie mówiłem! — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Panie Mansell, — zaczął Ferris uroczyście, — nie chcę pana dłużej łudzić..... Wiemy, że w dniu zbrodni byłeś tu, w mieście, a nawet w domu twej ciotki. Nie ulega żadnej wątpliwości. Chodzi nam teraz jedynie o to, kto był później u pani Klimmer, Hildret czy pan! Jeżeli możesz dowieść, że byłeś tam rychlej niż on, w takim razie.....

Twarz Mansella dziwnie się zmieniła. Pochylił się naprzód, spojrzał przenikliwie w oczy Ferrisa, a potem, wskazując Byrda, rzekł pogardliwie:

— Gdy pytałem tego człowieka, czy mam stawać przed panem w charakterze świadka, nic mi na to nie odpowiedział. Powiedz mi pan najpierw, czy słusznie postąpił, zostawiając mnie w zupełnej niewiadomości?

— Nie można tego było uniknąć przez wzgląd na położenie sprawy, — odparł Ferris. — Kazałem tu pana przywołać w nadziei, że dowiedziesz mi, że nie masz żadnej styczności z morderstwem twej ciotki. Szacunek, jaki mam dla rozmaitych osób, blizkich twemu sercu, usprawiedliwia dziwne moje postępowanie względem człowieka, na którego pada podejrzenie.....

— Mogę pewnie żądać, — przerwał Eryk z gorżkim uśmiechem, — abyś mi pan wymienił dowody, świadczące przeciwko mnie, zanim będę próbował przekonać pana o bezzasadności tego podejrzenia!

Widać było, że nie ustąpi tak prędko, i że ma stanowczy zamiar bronienia swej sprawy.

— Owszem, — odrzekł Ferris, — powiem panu wszystko. — Już dla samej przyjaźni mojej dla pana Orkuta uczynię wszystko, co mogę, aby uniknąć rozgłosu, jaki by twoje uwięzienie wywołało. Ale myślę, że pan będziesz także zupełnie szczerym. Sprawa ta zbyt zanadto jest ważną, aby ją zbyć czczemi frazesami.

Mansell spuścił głowę i milczał.

— Uważamy pana dla rozmaitych powodów tak samo za winnego, jak Hildreta, — mówił Ferris dalej. — Wiemy najpierw już, że pan, chcąc wykonać jakiś wynalazek, potrzebowałeś pieniędzy, i to sumy takiej, jaką właśnie posiadała pani Klimmer. Powtóre dowiedzieliśmy się, że wyjechałeś z Buffalo dzień przed ową zbrodnią, że udałeś się do Monteit, że wysiadłeś tam na dworcu, i że poszedłeś do lasu aż do chaty, w której noc przepędziłeś. Po trzecie, możemy panu dowieść, że ztamtąd odwiedziłeś ciotkę twoją raz, a może i dwa razy, ostatnim razem byłeś u niej w dniu, w którym została zamordowaną. Wszedłeś pan do domu od strony podwórza, i tą samą drogą wróciłeś przez bagno i las na dworzec. Zebrawszy wszystkie te dowody, musimy bezwarunkowo mieć pana w podejrzeniu..... Przyznasz to sam pewnie!

— Twierdzenie pana bardzo jest śmiałe, — rzekł Mansell z przymuszonym uśmiechem, — ale jakże możesz mi pan dowieść, że nocowałem w owej chacie, a nawet, że w niej wogóle byłem?

— Zaraz panu powiem. Widziano cię tam owego dnia w towarzystwie pewnej młodej dziewczyny. I cóż powiesz na to?

— Nic! — odrzekł Eryk pogardliwie.

— W domu ciotki nie nocowałeś pan, wiemy o tem bardzo dobrze, w chacie natomiast zostawiłeś liczne ślady twojej tamże bytności. Leżałeś na ziemi, z głową opartą o gałązki sosnowe, zacinałeś niebieski ołówek, i czytałeś gazetę.....

— Jesteś pan istotnie doskonale poinformowanym, — przerwał Eryk, marszcząc gniewnie czoło, — ale zkąd wiesz, że byłem u mojej ciotki w dniu, w którym ją zamordowano? Widział mnie tam kto? Albo czy i tam zostały ślady mej bytności?

W słowach tych niezmierne brzmiało szyderstwo. Ferris spojrzał na rękę, którą Eryk się na stole opierał i rzekł spokojnie.

— Nie masz pan dziś na palcu owego piercionka brylantowego, który zabrałeś wówczas z sobą, idąc do chaty leśnej? Czy to może ten sam, który znaleziono po dokonanem morderstwie w pokoju pani Klimmer? Zgubiłeś pan go tam?

Eryk drgnął gwałtownie. Był to pierwszy objaw jego przerażenia.

— Zkąd pan wiesz, — szepnął, — że miałem przy sobie pierścień brylantowy?

— Rzecz ta najmniejszej nie ulega wątpliwości. Panna Dare.....

— Panna Dare! — krzyknął Eryk przerażony.

— Panna Dare, — mówił Ferris dalej, — wyznała,, że pierścionek ten oddała panu. Nie chciała go przyjąć!

Po słowach tych przykre nastąpiło milczenie.

— Wiesz pan wszystko tak dokładnie, — odezwał się wreszcie Eryk z pozornym spokojem, — że nie mam nic do nadmienienia. Ale to powiadam, — dodał z nagłem uniesieniem, uderzając pięścią w stół, — że ja ciotki mej nie zabiłem! Przyznaję, że byłem u niej, przyznaję, że byłem w lesie i że nocowałem w chacie, było to jednak dzień przed owem morderstwem. Poszedłem do ciotki, aby raz jeszcze prosić jej o pożyczenie mi pieniędzy. Wybrałem drogę przez las, bo miałem jeszcze inny cel.... dla którego nie chciałem, aby mnie w Sibley widziano..... Ciotka nie dała się uprosić, i drugie moje życzenie, tyczące pierścionka, nie spełniło się także. Przygnębiony, zrozpaczony, przepędziłem noc całą w leśnej chacie, ale ciotki mojej już nie widziałem potem wcale! Eryk mówił ostatnie słowa poważnie, uroczyście, a oczy jego, błyszczące i jasne, nie unikały bynajmniej przenikliwego wzroku adwokata.

— Więc pan twierdzisz, że nie byłeś w domu pani Klimmer w dniu morderstwa? — zapytał Ferris.

— Tak!

— A zatem nie wiem, kto mówi prawdę, czy pan, czy panna Dare!

Eryk milczał.

— Panna Dare mówiła, — zaczął znowu Ferris, — że oddała panu pierścionek w poniedziałek. Jakim więc sposobem znaleziono go we wtorek w jadalnym pokoju pani Klimmer? Któż inny, jeżeli nie pan, mógł go tam zostawić?

— Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem, — odparł Eryk ponuro.

Ferrisowi także trudno było uwierzyć w jego winę.

— Widzę, że nie chcesz mi być pomocnym w wykryciu prawdy, — rzekł niechętnie. — Nie możesz mi powiedzieć, co uczyniłeś, z pierścionkiem, po rozstaniu się z panną Dare? Zatrzymałeś go na palcu, czy włożyłeś go do kieszeni, albo czy wyrzuciłeś go wogóle? Jeżeli tak, to może kto inny znalazł go i zgubił w mieszkaniu pani Klimmer! Pomóż mi pan w wyszukaniu mordercy!

— Nie wiem doprawdy, co się z pierścionkiem stało! — odpowiedział Eryk stanowczo. — Gdy mi go panna Dare oddała, zapomniałem o nim zupełnie. Gdybyś mi go pan nie był przypomniał, nie byłbym wcale o nim myślał. Jakim sposobem zgubiłem go, i jakim sposobem on się znalazł na miejscu morderstwa, tego nie pojmuję!

— Więcej mi pan nie powiesz?

— Nie, teraz pan wiesz wszystko!

— Panie Byrd, — zwrócił się Ferris do policyanta, — pan Mansell chce może iść do hotelu, jeżeli nie będzie wolał wrócić następnym pociągiem do Buffalo.

— Jakto? — zawołał Eryk zdumiony, — więc pan pozwalasz wrócić mi do domu?

— Tak!

— Ah, dziękuję!

I Eryk mimowoli wyciągnął rękę, ale cofnął ją znowu zaraz.

— Zostaniesz pan jednak pod dozorem policyi, — zauważył Ferris. — Obowiązkiem moim jest wyszukać mordercę pani Klimmer, a to, co mi pan powiedziałeś, jest mniej zadawalniającem i wystarczającem, niż się tego spodziewałem!

— Policya znajdzie mnie zawsze na mojem miejscu w fabryce, — rzekł Mansell.

I pożegnawszy Ferrisa grzecznym ukłonem, wyszedł z pokoju.

— Ten człowiek jest niewinny, — zawołał adwokat. — Sposób, w jaki chciał mi podać rękę, przekonał mnie dostatecznie o tem.

— Hikory nie będzie podzielał zdania pana, — odrzekł Byrd smutnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.

Orkut.

Ostatnie słowa Byrda głęboko Ferrisowi utkwiły w pamięci. Dopóki patrzał na Mansella, dopóty był przekonanym o jego niewinności, ale teraz zaczął o tem wątpić. Najważniejszym dowodem przeciw niemu było zeznanie Iwony, która go przecież kochała. Jak bardzo musiała być pewną jego winy, jeżeli zdobyła się na taki czyn stanowczy!

Przez wzgląd na Orkuta byłby Ferris chętnie zaniechał śledztwa przeciwko Mansellowi, postanowił więc oszczędzić przyjacielowi przykrości wezwania, jako świadka dziewczyny, którą on kochał. Dlatego też nie kazał teraz jeszcze uwięzić Mansella, tylko zbierać dalej najrozmaitsze dowody, i oddać je w ręce przewodniczącego wielkiej jury, której członkowie są zobowiązani do zachowania tajemnicy. Gdyby wtenczas dowody przeciwko Mansellowi nie były wystarczające, w takim razie nikt by się o podejrzeniu, ciążącem na nim, nie dowiedział. Gdyby zaś jednak Mansell musiał stanąć jako oskarżony przed sądem, to Ferris nie byłby za to odpowiedzialnym, i ani Orkut, ani Iwona nie mogliby mieć do niego żalu.

— Ale pomimo zachowania wszelkich ostrożności, rozgłosiła się sprawa ta bardzo prędko. Dwa dni później zapytał Orkut sam Ferrisa, ile w tem wszystkiem jest prawdy, a mianowicie, czy oprócz Hildreta pada rzeczywiście podejrzenie na innego jeszcze człowieka. Ferris musiał więc powiedzieć, że tak jest istotnie, że są dowody przeciwko siostrzeńcowi pani Klimmer, i że głównie panna Dare przyczyniła się do zwrócenia na niego uwagi policyantów. Orkut był blizkim rozpaczy.

— Ależ to niemożliwe, — zawołał. — Zkąd ona może wiedzieć o tem?

Ferris poznał, że przyjaciel jego nie ma najmniejszego wyobrażenia o stosunku Iwony i Mansella.

— Zeznanie panny Dare, — rzekł, było bardzo ważne, ale nie żądaj pan, abym więcej o niem mówił, dowiesz się wszystkiego najlepiej od niej samej. Cała ta sprawa jest mi niezmiernie przykrą, i gdybym tylko mógł, oszczędziłbym pannie Iwonie publicznego stawania na sądzie w charakterze świadka.

Orkut uśmiechnął się gorzko.

— Więc ona sama ofiarowała się zeznawać przeciwko Mansellowi?

— Tak! Z własnej woli!

Orkut dosyć już wiedział. Podług jego przekonania skłamała ona, pragnąc ocalić Hildreta. Pożegnalny list jej potwierdzał te domysły. Dla człowieka, którego kochała, gotowa była popełnić krzywoprzysięstwo, a Orkut, miotany szaloną zazdrością, układał tysiączne plany w celu przeszkodzenia jej zamiarom i wykrycia jej kłamstwa.

Pogrążony w ponurych myślach, jak to teraz zawsze bywało, siedział w swoim pokoju, powtarzając po raz setny może:

— Ona kocha go tak bardzo, że chce go ocalić, choćby kosztem własnego sumienia.

Potem wstał i wyszedł z domu. Zegar na ratuszu wydzwonił godzinę ósmą; było to już późno, ale Orkut nie wiedząc prawie, co robi, udał się wprost do willi profesora Darlinga i kazał powiedzieć Iwonie, że pragnie się z nią zobaczyć.

Z początku nie chciała go przyjąć, a gdy nareszcie zgodziła się na jego prośby i zeszła do salonu, wyrażała twarz jej aż nadto jawnie wstręt i przymus, jaki sobie zadawała.

Orkut był przygotowanym na chłodne przyjęcie.

— Iwono! — zawołał, zbliżając się do niej, — dlaczego opuściłaś mój dom?

— Napisałam to panu! Smutny obowiązek zmusił mnie

do tego. Czemu usiłujesz pan usunąć zaporę, która nas dzieli na zawsze?

— Co nazywasz obowiązkiem? — rzekł, marszcząc gniewnie czoło. — Musisz mi raz przecież wyznać prawdę! Nie pozwolę zbywać się frazesami, bo chodzi tu o szczęście całego mego życia!

— Powiedziałeś mi pan, że Walery Hildret może wtenczas tylko być uwolnionym, jeżeli się wykaże, że ktoś inny jest winnym. Zdaje mi się, że mogę udowodnić winę..... innego..... i dałam o tem znać sądowi, bo Hildret musi być uwolnionym, za jakąkolwiekbądź cenę! Słyszysz pan? On musi być uwolnionym!

— I dla miłości tego człowieka chcesz dać sądowi fałszywe dowody, chcesz popełnić nawet krzywoprzysięztwo i zwalić całą winę na biednego Mansella!

Iwona wyprostowała się dumnie.

— Mówię zawsze prawdę! — odrzekła śmiało. — Nigdy w życiu jeszcze nie skłamałam!

Orkut spojrzał na nią niedowierzająco.

— Więc masz rzeczywiście dowody przeciwko Mansellowi? — zawołał. — I nie powiedziałaś nic, chociaż człowiek, którego kochasz, był w niebezpieczeństwie? To doprawdy bardzo dziwne!

Młoda dziewczyna ciężką z sobą toczyła walkę, potem nagle zbliżyła się do Orkuta, i spuszczając głowę, szepnęła cicho:

— Po co ukrywać dalej prawdę! Czy prędzej, czy później musisz pan się o tem dowiedzieć. Nie kocham Hildreta wcale, ten zaś, do którego serce moje należy jest — Eryk Mansell!

Po słowach tych długie i przykre nastąpiło milczenie.

— Brzmi to może bardzo nieprawdopodobnie, zaczęła Iwona nareszcie, ale tak jest rzeczywiście. Poznałam go w Buffalo, i pokochałam od razu. Był to pierwszy mężczyzna, który głębokie na mnie wywarł wrażenie. Zdawało mi się, że życie moje odtąd zmienia się zupełnie, że mam jakiś cel, którego osiągnięcie będzie dla mnie najwyższem szczęściem. On kochał mnie także, ale miłość nasza stała się początkiem okropnej walki, której koniec..... oh, nie mogę myśleć o tem, bo obawiam się, że zmysły stracę!

— I z miłością w sercu dla innego, — rzekł Orkut z rozpaczą, — wróciłaś do mego domu, słuchałaś zapewnień mej szalonej miłości i nie odbierałaś mi nadziei zostania moją żoną!

— Ach, bo wówczas zwątpiłam o wszystkiem! Wszakże przyszłość Eryka i moja zależała od wykonania jego planów. Chodziło o model maszyny, ale nikt nie chciał mu dać pieniędzy, jakich potrzebował. Chciałam panu zresztą okazać wdzięczność za dobroć, jaką mi okazywałeś, ale może być, że postąpiłam nierozważnie. W każdym razie jestem dosyć surowo za to ukaraną.

— Z tem wszystkiem, — rzekł Orkut przygnębiony, — nie wiem jeszcze, jakie dowody masz przeciwko Mansellowi?

— Uwiadomiłam o tem pana Ferrisa, i to wystarcza.

— Ferris jest adwokatem okręgowym i ściga mordercę, ja zaś jestem twoim przyjacielem, który może ci dobrze radzić i pomagać w trudnem położeniu, w jakiem się znajdujesz. Ale miej do mnie zaufanie! Czy była jeszcze dla niej nadzieja ratunku? Iwona założyła ręce i z uniesieniem wdzięczności spojrzała na Orkuta.

— Chciałbyś mi pan rzeczywiście pomódz? szepnęła nieśmiało. Byłbyś dosyć wspaniałomyślnym, aby zapomnieć złe, jakie ci wyrządziłam? Nie odmówiłbyś mi rady, gdyby on zamiast Hildreta, stanął przed sądem, jako oskarżony?

Iwona dużo żądała, to też Orkut nie chciał się z góry związać przyrzeczeniem.

— Najpierw muszę poznać dokładnie całą sprawę — rzekł wymijająco.

— A więc — Eryk Mansell znajdował się owego dnia rano w mieszkaniu pani Klimmer! Pierścionek zaś, który...

— Dalej, dalej, zawołał Orkut zaniepokojony na nowo.

— Pierścionek ten był jego własnością! Należał on niegdyś do jego matki, teraz dał go na nowo oprawić. Dzień przedtem spotkaliśmy się z nim w lesie, tam chciał mi pierścionek ten dać, ale ja go nie przyjęłam. Przyszłość nasza była tak beznadziejna, że nie przypuszczaliśmy nigdy, aby życzenia nasze kiedykolwiek spełnić się miały.

— Jakto? Więc spotkałaś się z nim w lesie? I na drugi dzień poszedł on do domu pani Klimmer i zgubił tam ów pierścionek?

W głosie Orkuta brzmiał gniew i oburzenie.

— Tak! — odrzekła Iwona krótko.

— Więc dlatego tylko, że pierścionek ten znalazł się w mieszkaniu wdowy, uważasz pani Mansella za mordercę? zapytał szyderczo.

— Jest to w każdym razie dowodem jego tamże bytności, a zresztą słowa umierającej: ręka i pierścień, i to, co on poprzednio do mnie mówił... Iwona zadrzała i umilkła.

— Co mówił? badał Orkut niecierpliwie.

— Ach, owe pięć tysięcy dolarów, które pani Klimmer posiadała, były właśnie sumą, jakiej potrzebował!

Chociażby tak rzeczywiście było, to zawsze jeszcze nie można mu udowodnić winy. Jeżeli nie chcesz, aby go skazano, to nie wspominaj o tem nikomu!

— Ale niewinny nie może być karanym za winnego — oerzekła Iwona szorstko i stanowczo.

— Orkut zdawał się nie słyszeć tych słów.

— Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? zapytał po chwili.

— Nie. Czego mogę się spodziewać? szepnęła błagalnie.

— Jest to istotnie dziwna bardzo sprawa, w całej mojej praktyce nie zaszło jeszcze coś podobnego.

Trzeba jednak odczekać, co wielka jury postanowi. Chwilowo wszystko dosyć jest zawikłane.

— Ale myślisz pan, że można jeszcze wątpić.....

— Wątpliwości istnieją zawsze, dopóki cała sprawa nie jest dokładnie wyjaśnioną. Nikt dziś przewidzieć nie może, kogo sąd uzna za winnego, podług mego bowiem zdania, ciąży na obydwóch równe podejrzenie. Dlatego, że pani uważasz Mansella za mordercę.....

— Boże Wielki! — jękła Iwona. — Jak to brzmi okropnie! A jednak.....

— Dlatego jeszcze nie potrzebuje „wielka jury“ uznać go również za zbrodniarza. Obecnie więc nie można żadnych układać planów. Pożegnam panią teraz, później, gdy będziesz potrzebowała mojej rady i pomocy, zobaczymy się znowu!

I ująwszy jej ręce, ucałował je gorąco. Potem wybiegł szybko z pokoju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTYCZWARTY.

Kto jest oskarżonym?

Całe Sibley ogromnie było rozgorączkowane. Posiedzenie „wielkiej jury“ rozpoczęło się właśnie, a morderstwo wdowy Klimmer stało na porządku dziennym. Obrady odbywały się przy zamkniętych drzwiach, przed gmachem zaś sądowym znajdowały się niezliczone tłumy ludzi, czekających niecierpliwie na ogłoszenie nazwiska oskarżonego.

W willi profesora Darlinga tymczasem, siedziała Iwona skamieniała nieomal z rozpaczy.

— Iwono — mówiła Helenka Darling, obejmując czule szyję przyjaciółki, powiedz mi, co cię tak dręczy! Czemu poszłaś dziś rano z papą na sąd, i wróciłaś ledwie żywa do domu? Widzę, że okropny jakiś kłopot przepełnia twe serce! Miej do mnie zaufanie, może ci to ulży trochę!

— Daj mi pokój, Helenko! — odrzekła Iwona, ocierając łzy. Muszę znieść sama moje nieszczęście. Ty nie pojęłabyś mnie nawet wcale ty, szczęśliwa i swobodna, której życie i świat cały się uśmiecha! Jeszcze tylko kilka godzin a dowiem się wszystkiego... Dziękuję ci za twoją serdeczność, ale proszę, zostaw mnie samą! Muszę się trochę uspokoić.

Helenka odeszła zasmucona, Iwona została zaś samą z swoją rozpaczą.

Po upływie godziny zapukał służący do drzwi.

— Jakiś pan jest na dole, — rzekł, — i pragnie się z panią zobaczyć.

Iwona wybiegła do sieni, gdzie Orkut czekał na nią. Jedno spojrzenie na niego, i — domyśliła się od razu wszystkiego.

— Kto? kto? — krzyknęła, chwytając jego ramię.

— Mansell.

Młoda dziewczyna zachwiała się, i z głośnym jękiem ukryła twarz w dłoniach.

— Słuchaj pani, — rzekł Orkut, — musisz mi odpowiedzieć na jedno ważne pytanie.

— Mów pan!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Śmierć i żona.

Opowiadanie z XVIII-go wieku.

Starożytny i przesławny to ród kniaziów Czartoryskich. Od Gedymina i Olgierda, książąt litewskich, wywodzą swój początek. Płynęła w ich żyłach ta sama krew, z której wyszedł i Władysław Jagiełło, protoplasta dynastyi królów. Nazwisko rodu pochodzi od Czartoryska[1]) którym w XII-ym wieku zawładnął jeden z Olgerdowiczów. Lecz na widownię dziejową pierwszy występuje w XV-ym wieku Wasyl Czartoryski, a raczej synowie: Iwan, Aleksander i Michał. O udziale ich w bitwie pod Warną wspominają kroniki, a przedtem jeszcze król Władysław Warneńczyk nazywa młodych Czartoryskich *consanguinei*, czyli krewni, czem stwierdza pochodzenie książęce.

Ale nie jest naszym zamiarem kreślić dzieje przesławnego rodu, znacznie później, bo już na schyłku Rzeczypospolitej zwanego popularnie „familią“. Kto ciekawy poznać marsowe postacie dawnych Olgierdowiczów—Czartoryskich, niech sobie przeczyta znakomite dzieło Bonieckiego p. t. „Poczet rodów w Wielkiem Księstwie Litewskiem“. Nam chodzi o jeden tylko mało znany, półlegendowy prawie epizod z życia pradziada po kądzieli, ostatniego króla elekcyjnego, Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Wiadomo, że matką Stanisława Augusta była Konstancya Czartoryska[2]), córka księcia Kazimierza a wnuka księcia Michała, obu wojewodów sandomierskich. Właśnie ten książę Michał pradziad królewski a pra-pradziad ks. Adama Czartoryskiego, głośnego męża stanu, a zarazem niegdyś przyjaciela cesarza Aleksandra I-go, będzie bohaterem naszego opowiadania.



Konstancya z Czartoryskich Poniatowska.

Nowy Rok Pański 1632-gi uroczyście na zamku Klewańskim obchodzono. Podwójna do tego była okazya. Książę na Klewaniu, Mikołaj Jerzy Czartoryski, otrzymał ze stolicy wiadomość o przyznaniu mu przez króla Władysława IV dawno uprawnionej kasztelanii wołyńskiej. Jednocześnie zaś zjechał do Klewania pan stolnik podlaski, Czesław Olędzki, najserdeczniejszy druh z lat młodzieńczych i *commiliton* w wyprawach włoskich na Turków.

Olędzcy, dobra wprawdzie i za karmazynów na Podlasiu uważana szlachta, nie mogli przecież równać się z Czartoryskiemi, książętami na Klewaniu. Takich, jak Olędzki szlachciców, a może nawet i jeszcze lepszej prozapii, pełno było na dworze klewańskim w usługach księcia. Dumny magnat po za Koreckimi, Sanguszkami, Chodkiewiczami, Wiśniowieckimi i Zasławskimi, nie uznawał innych, chociażby senatorskich rodów, za równych Czartoryskim. A lubo każdemu szlachcicowi mówił w oczy „panie bracie“, po za jego plecami nazywał szerepetką.

Była to przecież epoka coraz znamienniejszego powstawania „królewiąt“, mających niezadługo sprowadzić na skołataną nawę Rzeczypospolitej hurgan buntów kozackich i najścia Szwedów, ów „Ogień i miecz“, a po nich „Potop“.

Książę Mikołaj Czartoryski, świeżo kreowany kasztelan wołyński, był takim „królewiątkiem“ wobec wszystkich, oprócz jednego Czesława Olędzkiego. Pomijając już przyjaźń zawartą na ławie szkolnej w kollegium OO. Jezuitów w Winnicy (fundowanem przez Jerzego Czartoryskiego, ojca Mikołaja), a wzmocnioną później braterstwem broni, pan na Klewaniu ocalenie młodego żywota zawdzięczał Olędzkiemu.

W jednej z bitew, stoczonych z Turkami na Wołoszczyźnie, Mikołaj Cartoryski był wzięty do niewoli. Wiedziano kim jest jeniec, więc został wyznaczony znaczny okup, z którym podążył Olędzki aż do Sylistryi, dokąd księcia Mikołaja uprowadzono. W chwili jednak przybycia Olędzkiego z pieniędzmi zdarzył się niespodziany wypadek. Oskarzono młodego Czartoryskiego o potajemne schadzki z którąś z żon baszy. Ile w tem było prawdy — historya przemilcza. Dość, że według surowych praw proroka, podejrzana o niewierność pani baszowa poniosła śmierć przez zaszycie w worku i następnie utopienie, a zuchwałego jeńca skazano na ścięcie mieczem. Sam padyszach, do którego, z uwagi na osobistość jeńca i z uwagi na zawarty chwilowo rozejm z Polską, basza się odniósł — wyrok zatwierdził.

Okupu, rzecz prosta, nie przyjęto, pozwolono jednak Olędzkiemu zobaczyć się z skazańcem, okutym w kajdany i oczekującym na spełnienie wyroku w lochu więziennym. Olędzki, ważąc sam życie, powziął zuchwały zamiar uprowadzenia przyjaciela. Zdaje się, że pieniądze, ten międzynarodowy po wsze czasy złoty klucz, otwierający najoporniejsze zamki, dopomogły do ucieczki. Był to przecież dopiero początek niezwykłej imprezy. Pogoń rezesłano za zbiegami na wsze strony. Jak się z tej sieci zdołali wyswobodzić? również w kronice domowej Czartoryskich brak szczegółów. Faktem jest przecież, że dopiero po dwóch latach pełnej przygód podróży obu witano uroczyście na zamku klewańskim, którym po śmierci rodzica zawładnął książę Mikołaj wcześniej jeszcze, bo w roku 1618 ożeniony z Izabelą księżniczką Korecką. Olędzki także się ożenił i osiadł w rodzinnym majątku Siedlce (dzisiejsze miasto gubernialne) w ziemi Łukowskiej, a zamieniwszy oręż na lemiesz, otrzymał niebawem stolnikowstwo podlaskie.

Zapewne przyjaciele długi czas się nie widzieli a przynajmniej pan stolnik dawno nie odwiedzał Klewania, kiedy na ów przyjazd książę Mikołaj gotował się, jakby na wielką uroczystość rodzinną.

Nie będziemy samego przyjęcia opisywali, wspomnimy tylko o pewnym epizodzie, jako związku całej dalszej intrygi. Podczas jednej z uczt, jakie dla swego gościa nowy kasztelan wyprawiał, nadjechał konny posłaniec z Siedlec z listem do pana stolnika.

Żona powiła mi córkę — zawołał Olędzki, odczytawszy list, kreślony przez podstarościego.

— A dla mnie synowę! — wykrzyknął ku zdumieniu wszystkich książę Mikołaj.

I jednocześnie rozkazawszy przywołać swego dziesięcioletniego najmłodszego syna Michała, powiada:

---

[1]) Obecnie jest to miasteczko w powiecie łuckim, gub. wołyńskiej. Przyp. autora.

[2]) Portret Kostancyi Czartoryskiej zamieszczamy obok. Przyp. Redakcyi.

Ot dla tego smyka proszę cię, kochany Czesławie, o rękę twej nowonarodzonej córki. Niech w przyszłości związek dzieci uświęci naszą starą przyjaźń i niech będzie potwierdzeniem mojej niewygasłej dla ciebie wdzięczności.

Zabrzmiały trąby i litaury, zagrzmiały moździerze wiwatowe, a z paruset piersi gości i dworzan wznosiły się okrzyki toastowe na cześć młodej pary.

Takie zrękowiny dzieci w kołysce, były wówczas we zwyczaju. Sam fakt przeto układanego ożenku dziesięcioletniego malca z kilkodniowem niemowlęciem nikogo nie dziwił. Ale podziw budziła nierówność związku. Pan na Klewaniu, dumny magnat Olgierdowicz-Czartoryski, prosi dla swego syna o rękę zwyczajnej szlacheianki, Olędzkiej. Naturalnie, że pan stolnik był olśniony temi oświadczynami; parantela z książęcym rodem podnosiła blask i znaczenie Olędzkich wprawdzie dobrej szlachty, ale nie mogącej z Czartoryskim wchodzić w paragon.

Czy wielka radość z ułożonego związku, czy inna przyczyna, dość, że pan stolnik nie długo się cieszył nadzieją zostania teściem książęcym. Już w 1935 roku, gdy jego jedynaczka liczyła dopiero czwarty roczek, żywot prawie nagle, w sile męskiego wieku, zakończył.

Oczywiście śmierć Olędzkiego na ułożone już małżeństwo w niczem nie wpływała. Książę Mikołaj nie należał do tych, którzyby, słowo na wiatr rzucali. Wiemy np., że w roku 1637 bawi w czasie świąt Wielkanocnych na zamku klewańskim pani stolnikowa Olędzka wdowa z córeczką Joanną, a maleńkiej narzeczonej asystuje kilkunastoletni wyrostek, książę Michał Czartoryski, wybierający się właśnie w długotrwałą podróż za granicę dla edukacyi.

W pięć lat później odnajdujemy go w Warszawie na dworze królewskim. Stąd do Klewania w lutym 1642 r., spada niby piorun z nieba, trudna do wiary wiadomość, młodziutki książę Michał, nie ukończywszy jeszcze 24 lat, poślubił hrabiankę Fekenberg, Austryaczkę, pannę dworską królowej Cecylii Renaty. Opowiadano, że małżeństwo to skojarzyli oboje królestwo, za wiedzą przebywającej wówczas w Warszawie matki nowożeńca, księżnej z Koreckich Izabelli, która była bardzo rada takiemu obrotowi rzeczy, z niechęcią bowiem myślała o związku syna z Olędzką.

Strasznym gniewem zawrzał kasztelan i natychmiast podążył do Warszawy wstępując po drodze do Siedlec, aby przed stolnikową Olędzką wytłomaczyć, że ta „awantura“ w niczem stanu rzeczy nie zmieni. On potrafi związek nielegalny rozerwać, a nieposłusznego syna zmusić, chociażby groźbą klątwy, do wypełnienia świętych zobowiązań.

— Czyż książę ośmieli się sprzeciwiać majestatowi królewskiemu? — zapytała niedowierzająco matka dziesięcioletniej podówczas Joasi.

— Majestatowi do spraw rodzinnych nie wolno się mieszać... Choćbym nawet miał rokosz podnieść, a na utrwalenie tego związku nie przystanę — odparł kasztelan i ze straszną burzą pędził do Warszawy.

Snać się tam spodziewano tej burzy, gdyż nowożeńcy zostali tak gdzieś ukryci, że książę Mikołaj, mimo sypania pieniędzmi i rozsyłania szpiegów na wszystkie strony, nic się o synu nie mógł dowiedzieć

— Żonę, która pierwsza stawiła czoło gniewowi męża, przemocą wyprawił do Klewania, z poleceniem uwięzienia w izbie zakratowanej, a następnie domagał się audyencyi u króla, wystąpiwszy jednocześnie ze skargą przed konsystorz o unieważnienie małżeństwa syna. Audencyę uzyskał dopiero po złożeniu deklaracyi, że się zachowa przyzwoicie i żadnych wymówek majestatowi czynić nie będzie.

Nie pomogła jednak deklaracya, skoro musiał król przerwać posłuchanie, a szalejącego z gniewu magnata, prawie na rękach z zamku wyniesiono. Następstwem tego był atak apoplektyczny, a później długotrwała choroba. Dopiero w 1644 r. już po zgonie królowej Cecylii Renaty, głównej sprawczyni tajemnego małżeństwa, nastąpiło powtórne widzenie się księcia Mikołaja z królem.

Napróżno Władysław IV, ofiarowawszy już nowożeńcowi starostwo krzemienieckie, dawał kasztelanowi do wyboru, które z wakujących województw, byleby tylko synowi przebaczył i związek zawarty uznał. Pan Klewański, uparcie oświadczał, że słowa raz danego za skarby świata nie zmieni i że jeżeli rozwód z hr. Fekenberg nie nastąpi, a syn nie ożeni się z Olędzką, to on rzuci klątwę na nieposłuszne dziecko.

Tymczasem gdy proces rozwodowy, wobec woli króla, bez szansy powodzenia prowadził się, a Izabella Czartoryska wciąż była na zamku klewańskim więzioną, opuszczona dzieckiem przez księcia Michała Joasia Olędzka wyrosła na prześliczną 16-to letnią pannę. Do Siedlec zaczął się zjeżdżać rój konkurentów. Wszystkich jednak spotykała rekuza. Stolnikowa święcie wierzyła, że kasztelan postawi na swojem i że córka jej księżną zostanie.

Tak rzeczy stały aż do roku 1648, to jest do zgonu Władysława IV-go. Książę Mikołaj zatruł temu królowi nie jedną z ostatnich chwil życia, łącząc się z innymi „królewiętami“, czyniącymi wstręty władzy królewskiej i przygotowując podkład do wielkiego łańcucha późniejszych rokoszów i zdrad, łańcucha z pierwszem ogniwem nazywającem się Radziejowski i ostatniem Szczęsny Potocki.

Lecz Mikołaja Czartoryskiego usprawiedliwiała do pewnego stopnia obrażona miłość, a raczej powaga ojcowska, zwłaszcza jeżeli staniemy na gruncie tamtoczesnym wysokiej, prawie architralnej, patryarchalnej władzy ojca nad dziećmi.

Z obiorem Jana Kazimierza, schlebiającego na razie królewiętom, a szczególnie potężnemu z wpływów księciu Mikołajowi, była nadzieja szybkiego ukończenia procesu rozwodowego, zwłaszcza że, o dziwo! zaszedł w tym czasie niespodziany wypadek, mogący przyśpieszyć rozwiązanie intrygi. Książę Michał, przebywający dotąd w Wiedniu, porzuca swoją małżonkę i zjawia się w Warszawie pełen pokory, błagający przebaczenia, gotów spełnić każdą wolę ojca. Przebaczenie to uzyskał, lecz nie mógł jechać do Siedlec, dopóki rozwód nie zostanie wyrzeczony. Dlaczego właściwie książę Michał po ośmioletniem pożyciu (nb. bezdzietnem) z hr. Fekenberg opuścił ją — rzecz niezbadana. Należy się domyślać, że związek nie był szczęśliwy, a gorąca miłość młodzieniaszka z biegiem czasu ostygła.

Nareszcie upragniony rozwód, na który i opuszczona Austryaczka chętnie się już godziła, ogłoszono. Zdawało się, że teraz nic już nie stanie na przeszkodzie, aby Joanna Olędzka została księżną Czartoryską, a kasztelan wołyński dopełnił uroczyście danego swemu zmarłemu przyjacielowi przyrzeczenia.

Niestety! Figlarny amor znów sprowadził powikłanie. Panna Joasia, od której stolnikowa odpędzała tak troskliwie wszystkich konkurentów, została przezeń miłosną strzałą trafiona. Młody kasztelanic Tomasz Oleśnicki, zyskawszy wzajemność panny, nie zważając na rekuzę matki, potrafił skłonić bogdankę do zgodzenia się na... wykradzenie. Właśnie, gdy książę Mikołaj z synem Michałem, już rozwiedzionym, zdążał do Siedlec, młoda para brała ślub w Lublinie u OO. Dominikanów.

Napróżno pani stolnikowa wytoczyła proces Oleśnickiemu o *raptus puellae*, napróżno oblegała skargami konsystorz i króla. Tego, co się stało, nikt odrobić nie mógł, a książę Mikołaj nie myślał popierać sprawy. Dumny pan klewański wobec zaszłego faktu czuł się zwolnionym od przyrzeczenia. Nigdyby się nie zgodził, aby panna Olędzka, czy w razie orzeczenia nieważności małżeństwa *illegitima* kasztelanicowa oleśnicka, po przeżyciu z panem Tomaszem pewnego okresu czasu, miała zostać księżną Czartoryską....

Ale żeby go nikt nie śmiał posądzić, że korzysta z zaszłego wypadku dla uniknięcia t. z. *mezaliansu*, za jaki związek Czartoryskiego z Olędzką uważano — ożenił niezwłocznie syna z ubogą Eufrozyną ze Stanisławskich Potocką, młodziutką wdową po staroście śniatyńskim.

Zdawałoby się, że tu kres naszego opowiadania, skoro, jak w bajce, *on* poślubił inną, a *ona* innego. Otóż nie. Cóżby wówczas znaczył tytuł wzięty z przysłowia: „Śmierć i żona od Boga przeznaczona?“

Druga księżna Michałowa Czartoryska (pierwszą, jak już wiemy, była rozwiedziona hrabianka Fekenberg) po kilku latach pożycia z książęcym małżonkiem, zmarła bezdzietnie, jako wojewodzina, w tym bowiem czasie książę Michał otrzymał województwo bracławskie i razem z ojcem, księciem Michałem, mianowanym wojewodą wołyńskim, zasiadł w senacie.

Młody jeszcze wdowczyk pocieszył się niezadługo po stracie małżonki. W niespełna rok stanął po raz trzeci na ślubnym kobiercu z Zofią Koniecpolską. I ten związek był bezdzietny, a raczej pani wojewodzina bracławska, po dwuletniem pożyciu wydawszy na świat syna, razem z dzieckiem przeniosła się do wieczności.

Jednocześnie prawie (1662 r.) nastąpił zgon księcia Mikołaja, po którym syn odziedziczył Klewań, a zarazem otrzy-

mał wakujące województwo wołyńskie.*) Wdowiec po trzech żonach — bo i pierwsza, rozwiedziona hr. Fekenberg, już nie żyła — zapewne nie myślał o wstąpieniu w nowe czwarte związki małżeńskie.

Rzadko zaglądając do Klewania, książę Michał przemieszkiwał częściej w Warszawie, biorąc żywy udział w sprawach publicznych, częścią za granicą, w ulubionym zawsze Wiedniu, gdzie na dworze cesarskim mile go widziano. Starszy brat, Jan Karol książę Czartoryski, podkomorzy krakowski, śmiało mógł uważać Klewań za dziedzictwo swoich synów, tembardziej, że trzeci brat, a syn Mikołaja, książę Floryan, poświęciwszy się stanowi duchownemu, był już wówczas prymasem arcybiskupem gnieźnieńskim. Stało się jednak inaczej. Pod koniec 1672 r., przeszło po dwuletniej nieobecności, zjechał na zamek klewański książę wojewoda wołyński z nowo poślubioną małżonką. Toż to był dziw nad dziwy, gdy się okazało, że tą czwartą żoną jest pani Joanna z Olędzkich Oleśnicka, która jako małe dziecko, a narzeczona księcia Michała razem z matką panią stolnikową na zamku bawiła.

Gdzie i kiedy wdowiec po trzech żonach i wdowa po Oleśnickim spotkali się — mniejsza o to. Dość, że związek dzieci, ułożony na tymże zamku klewańskim przez księcia Mikołaja i stolnika Olędzkiego, po tylu perypetyach i powikłaniach życiowych w lat 40 później został zawarty.

Nad podziw miała być jeszcze wówczas piękną i hożą księżna Michałowa, a przez małżonka tembardziej umiłowaną, ponieważ obdarzyła go upragnionym potomkiem.

Był nim książę Kazimierz Czartoryski, dziad macierzysty, jak się rzekło, króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, rodzic synów stanowiących słynną, „familię“, która u schyłku Rzeczypospolitej odegrała tak wybitną rolę

Cieszymir.

---

*) Znacznie później, bo w 1681 roku, został wojewodą sandomierskim.

Powrót.

I.

....Nocą dżdżystą a ciemną,
Zwolna, furtką tajemną,
Jakaś postać wkrada się do sadu;
Owinięta w płaszcz czarny,
Błądzi — jak cień cmentarny,
Po ścieżynkach rozsianych bez ładu.
Aż przy starej altanie,
Naraz w miejscu przystanie,
Zlekka zmokłe odgarnia powoje,
Bada ciemność spojrzeniem,
I po chwili z westchnieniem
Deszcz otrząsa i mówi: „Ot, zdroje!
Zdroje szczęścia i chwały,
Co mi dzisiaj zmyć miały
Wszystkie z życia smutki i zawody!
— Tutaj za rok — mówiła —
Ty mój, albo mogiła!....
Ha! przewidzieć trudno niepogody,
Dzisiaj nad chłód w altanie,
Nad z kochankiem spotkanie,
Sen ci milszy, kotara gazowa,
Pewno myślisz, szaruga,
Droga przykra i długa,
Nie przybędzie, nie dotrzyma słowa!
Ale, co to we dworze
Tyle światła?... Bal może?
Może pani moja tam się bawi?
Pójdę, spojrzę choć z dali
Po tańczących, po sali,
Ha, ha, głupcy są zawsze ciekawi!“

II.

...W sali kirem obitej,
W trumnie białej, odkrytej,
Dziewczę cudne niby w śnie spoczywa,
Wianek słoni jej czoło,
Płoną świece wokoło,
Welon z gazy po całunie spływa.
Katafalek bogaty,
Zdobią lampy i kwiaty,
Jasność wszędy, a cisza grobowa,
A przy trumnie w półcieniu,
Jakiś człowiek w milczeniu,
Klęczy ciągle i twarz w całun chowa.
Aż w tem drzwi się otwarły,
I tuż u nóg umarłej,
Gość nieznany staje niespodziany.
Płaszcz mu z ramion opada,
Włos w nieładzie, twarz blada,
Oczy we łzach, w piersi głuche łkanie.
„Przebacz! — jęknie boleśnie,
Żem śmiał zwątpić przedwcześnie,
Żem przed chwilą śmiał posądzić ciebie,
Przebacz! błagam cię droga,
I proś za mną u Boga,
Abym wkrótce przy tobie był w niebie.“
— „Panie! — człowiek przerywa,
Co twarz w całun ukrywa,
— Ktoś ty taki? tak silnie wzruszony?“
„Kto ja? dziś rok tu panie,
Było nasze rozstanie,
Jam kochanek? a pan?“ — „narzeczony.“

Ludwik Brzozowski.

Z grobu.

I.

Nad grobami cisza wieczorna. Cisza? ach, słuchaj tylko tej pieśni słowiczej. Szemrzy wietrzyk wieczorny, wzdychają fale liściaste, migocąc w świetle księżyca. Wszystko ci mówi, wszystko zda się żyć. O słuchaj tylko, a usłyszysz dziwy: wyniosłe drzewa szemrzą: „Bóg jest wielki“, ledwo skończyły, drobne krzewy już szeleszczą: „Bóg jest wielki.“ „Bóg jest wielki“, rozbrzmiewa wokoło. Tylko blady księżyc zdaje się milczący i patrzy martwy na świat. Ach nie! Patrz ścieląc na ziemi swój biały całun, zda się mówić: „Chwała Ci Panie“ i tam wysoko świecąc ponad chmurami zda się szumieć: „Nieskończoność, nieskończoność!“

Cisza wokoło, lecz co to? jakiś jęk słychać, głuchy, grobowy, wyszedł z ziemi. Któż mógł naruszyć spokój umarłych? Kto?

II.

— Ty łotrzyco, ty gałganie jakiś! — wołała stara leśniczowa, szturchając małą obdartą dziewczynkę, jak śmiałaś rozbić ten wazon z okna. Darmozjadzie, nie dość, że cię karmię i odziewam, a ty mi będziesz szkody robiła w domu; ty podrzutku jakiś, krzyczała stara.

Był to wieczór właśnie, słońce już zachodziło, a wrzask starej jagi rozchodził się echem wokoło. Przy ostatnich słowach leśniczowej, drzewa zdały się mocniej szumieć: „Ty sieroto biedna“, szeptały między sobą.

Dziewczynka stojąca przed leśniczową była struchlała, po bladej jej twarzyczce płynęły łzy ciche.

— Ach, ciotko, naprawdę, jam tego nie zrobiła.

— Jakto nie, wrzasnął mały chłopiec, który dotąd stał w cieniu, sam to widziałem.

— Co Maita jeszcze kłamie? — krzyczała stara, którą biedactwo ciotką nazywało, poczekajże!

Grad kułaków spadł na chude plecy dziewczęcia. Maita załkała:

— O matko moja, gdzieś się podziała!

— Cicho mi bądź zaraz, cholero! — wołała jędza, co nie przestajesz? Grześ kija!

Uradowany chłopiec pobiegł w las.

— Dobrze jej tak, mruczał mały złośnik, nie chciała pójść ze mną kraść gruszek u sąsiada, teraz dobrze, dostanie, a to ja przecież rozbiłem wazon.

Złe dziecko rozśmiało się szatańsko.

III.

Nad grobami znów cisza wieczorna. Znowu tak urocza i upajająca. Tylko wiatr silniej targa wierzchołkami drzew, tylko coś głośniej jęknęło pod czarnymi krzyżami.

Nagle grób z trzaskiem się otwiera, wychodzi z niego biała postać. Czy to jest człowiek? czy on jest z tej ziemi? rozwarte oczy, lecz pierś lodowata. „Moje dziecię, moje dziecię!“ jęknęła postać i cicho ponad lasami i polami płynie.

Gdzie leci ten upiór?

Białe kwiaty dzikich orzyn podnoszą zdziwione kielichy. „Gdzie leci, gdzie leci?“ pytają.

Zielone trawy rozchylają się pod chłodnym grobu powiewem i szemrzą między sobą: „Duch matki, duch matki?“

A postać płynie i płynie.

Któż mógł naruszyć spokój umarłej? Kto?

IV.

Było już ciemno, księżyc jasno ponad rzeką świecił rzucając wkoło światła i cienie, rozpryskując się w miriady iskierek na wodzie, niby kaskada źródlana tryskająca ze skały, a sam zimny i cichy, dążył, po swej drodze niebieskiej i chował co chwila swą świetlaną twarz między chmury uśmiechając się ponad ziemią. Czego on się śmiał? czy nad niedolą ludzką, okrutnie się naśmiewał? czy też cieszył się nad jej złościami? Satelicie nędzny, gdym jest szczę-

śliw z radością patrzę na twój uśmiech, ale gdy mi gorycz serce zalewa, a ty się śmiejesz, nienawidzę cię okrutniku. Swiat jest zawsze optymistą w szczęściu, a pesymistą w nieszczęściu . . . . .

. . . .

Mała jakaś postać siedziała skulona nad rzeką. Była to Maita; chude rączki złożyła jak do modlitwy i patrzała na świat przez łzy. Taki on piękny, a tak jej smutno na nim żyć.

Jeszcze jak matusia żyła, to było dobrze, bardzo dobrze, ale teraz od czasu jak ją leśniczowa wzięła do siebie wszystko się zmieniło. Tylko biją ją ciągle, sama nie wie za co. Ot i teraz wygnała ją leśniczowa z chaty na całą noc, za ten wazon, którego przecież nie rozbiła; przenocuje na dworze, tak nieraz bywało, ale kiedy ją taki kaszel trapi teraz. Otarła łzy z twarzy i patrzała na świat. Ach! jakiż on piękny, jaki kojący; te drzewa zdają się wzdychać i płakać nad nią, ten wietrzyk zda się osuszać jej łzy.

I natura zdawała się rozwijać całą harfę swych tonów, by razem płakać z sierotą. Słowik łkał w gęstwinie, drzewa wzdychały wokoło, trawy płakały deszczem rosy, nawet kwiaty pochyliły smutnie swe główki.

Maita czuła, że smutek jej ukoiła ta cisza wieczorna.

Nagle duch jakiś srebrny, przejrzysty, płynąc zbliżył się do Maity. Dziewczynka szepnęła radośnie:

— Matuś mój.

„Dziecię moje, dziecię moje“, jęknął duch. Słowiki więcej się jeszcze rozpłakały: „Pójdź, pójdź“, zawodziły. „Do nieba, do nieba“, szeptały kwiaty. „Za matką, za matką“, ćwierkał świerszcz.

I oto po gwiaździstej drodze zstąpił anioł miłości zesłany od Boga, pochwycił dwie dusze matki i dziecięcia i zaniósł przed tron niebieski.

. . . .

Nazajutrz w małej trumience pochowano biedną sierotę. *Lechita.*

SEJMIK

Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie odbędzie się dnia 25 i 26 września 1900 w Toruniu na sali Muzeum. Szanownych Delegatów, Członków i Przyjaciół Spółek uprzejmie zaprasza ks. Wawrzyniak, patron Spółek. Poznań dnia 12-go lipca 1900. Porządek obrad: I. Dnia 25 września, w wtorek o godzinie 6-tej po południu: 1) Zagajenie sejmiku przez patrona. 2) Sprawdzenie pełnomocnictw delegatów. 3) Wybór marszałka, zastępcy i dwóch sekretarzy. 4) Ustanowienie porządku obrad. 5) Wyznaczenie komisyi: a) do Nr. 7 i 8 ref. podskarbi Związku, b) do Nr. 10 ref. dyr. Więckowski, c) do Nr. 11 ref. mecenas Głębocki, d) do Nr. 12 ref. wicepatron, e) do Nr. 13 ref. ks. Kotecki, f) do Nr. 14 ref. syndyk Thiel. 6) Sprawozdanie Patrona. Następują prace w komisyach. II. Dnia 26 września, w środę o godzinie 8 rano Msza św. na intencyą Sejmiku, poczem o godzinie 9 rano: 7) Przedłożenie rachunków kasy Związku, udzielenie pokwitowania, załatwienie wniosków o zwolnienie od składek. 8) Ustanowienie etatu na 3 lata. Unormowanie składek do kasy Związku za rok ubiegły. 9) Wybór Patrona, Wicepatrona i 4 członków Patronatu. 10) Stosunek Spółek do Banku Związku Spółek. 11) O zastawach 12) Zabezpieczenie na życie a Spółki. 13) Jak ustawiać bilans noworoczny. 14) O prolongowaniu weksli. 15) Referaty rewizorów i delegatów.

Do dawnych i nowych przyjaciół.

W chwili, gdy kreślimy te słowa, nie da się jeszcze obliczyć, jaki skutek odniosły usiłowania przyjaciół „Pracy“ ku powiększeniu liczby naszych abonentów. Ale jedno widzimy: ot to, że z powodu zmiany kwartału tylu się do nas zgłosiło dotychczasowych czytelników z prośbą o wysłanie numerów okazowych ich znajomym i przyjaciołom, a przy tej sposobności w tylu listach znalazły się wyrazy najgłębszej życzliwości, uznania i przyjaźni, że to samo już uznać trzeba za istotny i prawdziwie szczęśliwy rezultat.

Utrwaliły nas bowiem te głosy w przekonaniu, że godnie spełniamy zadanie nasze, pracując wyłącznie w kierunku budzenia ducha narodowego.... Z wielu stron otrzymaliśmy zapewnienia, że „Praca“ zaczyna powoli wypierać ilustrowane tygodniki niemieckie z domów polskich. Oby tak było w istocie!

Ze swej strony czynimy wszystko, co jest w naszych siłach, aby zadowolić wymagania i potrzeby czytającego ogółu; musimy tu więc równocześnie oddać naszemu społeczeństwu sprawiedliwość, że usiłowania nasze zrozumiało i poparcia nam nie odmówiło. Że więc i w Poznańskiem i na Ślązku, w Prusach Zach. i w Galicyi, w Berlinie i we Westfalii a nawet w Ameryce „Praca“ znajduje coraz szersze koło zwolenników, tem trudniej nam jest zadowolić pod każdym względem różnorodne wymagania różnorodnie czytającej publiki. Gdy dawniej — nie tak dawno jeszcze, bo może przed rokiem — objętość „Pracy“ stanowiły dwa arkusze druku tj. 16 stron, dziś liczy „Praca“ cztery arkusze i okładkę tj. 36 stron a często nawet 44 strony druku. A pomimo to brak jeszcze miejsca w numerze na pomieszczenie tych wszystkich korespondencyi i artykułów, jakie ze wszystkich stron nam bywają nadsyłane, a których część tylko zamieszczoną być może.

Widząc te nasze usiłowania, z któremi ręka w rękę idzie techniczne udoskonalenie zewnętrznej strony naszego pisma, każdy z Czytelników powinien przejąć się przekonaniem, że werbując nam nowych zwolenników i czytelników dokłada niejako pojedyńczą cegiełkę do budowy wielkiego gmachu, za którego murami chroni się polskość przed naciskiem germanizacyi. Wskazywaliśmy już tylekroć na tę niesłychanie ważną, społeczno-narodową stronę sprawy, że zbytecznem byłoby dziś bardziej się nad tem rozwodzić. Jak dotychczas tak i nadal spoczywa powodzenie naszego pisma i wynik jego działalności w rękach Czytelników — nie wątpimy w rękach dobrych!

„Praca“ jest pismem szczerze katolickiem i narodowem. Jedno spojrzenie łaskawie rzucone na łany pisma naszego wystarczy, aby rozpoznać, co jest celem „Pracy“ naszej, co jest dążeniem każdego słowa, co jest myślą przewodnią każdego artykułu: oto *obudzenie w ludzie naszym przywiązania do wiary ojczystej i ojczystej przeszłości, pokrzepienia ducha na przyszłość!*

Niech ogół czytający nasze pismo poleci dalej, niech się przyczyni do przysporzenia liczby nowych bojowników w ciężkiej naszej walce o zagrożoną narodowość naszą. Podnosimy ten apel w imię drogiej sercom naszym sprawy narodowej. Przekonani, że Szanowni Czytelnicy w imię dobrej sprawy nie odmówią nam poparcia, zamieszczamy w dzisiejszym numerze kwity abonamentowe na nowy kwartał z usilną prośbą o podanie takowych krewnym, przyjaciołom lub znajomym z ciepłą zachętą do abonamentu, który na cały kwartał wynosi

tylko jednę markę.

Redakcya.

Niniejszy numer „Pracy“ jest przedostatnim w bieżącym kwartale, więc

czas największy zapisać

„PRACĘ“

na nowy kwartał

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Premia.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, a więc *bezpłatnie* **ładną książkę.**

Nadzwyczajna premia.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna dwóch nowych abonentów i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premię piękny kalendarz „Katolika“ na rok 1901.

Premie otrzymają tylko ci abonenci, którzy pozyskali innych nowych abonentów, ci zaś abonenci, którzy zapisali tylko sobie „Pracę“, nie mają prawa do premii.

Szanownych Czytelników w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

1 złr.

wprost do Administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 59 centów.

Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Sąd Boży“ itd., otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i 30 fen. w znaczkach na porto.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Czas największy zapisać

„Czytelnię Polską“

na bieżący kwartał.

Komu zależy na tem,

by z czasem mieć pokaźną

bibliotecczkę domową

polskich dzieł wyborowych,

a za tani pieniądz,

ten niech zaabonuje na poczcie

„Czytelnię Polską“,

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

30 centów,

(a pod opaską 1 mr. czyli 60 cent.)

Kto raz „Czytelnię Polską“ zaabonuje, ten zostanie już stałym jej czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzi

co tydzień

w formacie książki w objętości 24—32 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Każdy tomik „Czytelni Polskiej“ stanowi w sobie ile możności całość, tak, że każdy zeszyt jest dla siebie osobną książką. Już w ciągu kwartału każdy abonent „Czytelni Polskiej“ posiadać będzie 13 tomików czyli w ciągu roku 52 zajmujących książek.

Za pomocą „Czytelni Polskiej“ każdy, choćby najbiedniejszy, przyjdzie bez kłopotu — tanim groszem — w posiadanie

pokaźnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Pomiędzy innemi *„Czytelnia Polska“ ma jeszcze i tę zaletę, że takową każde dziecko czytać może*

i czytać powinno!

Zwłaszcza dwory nasze powinny „Czytelnię Polską“ abonować po kilkadziesiąt egzemplarzy dla swego ludu roboczego.

„Czytelnia Polska“

zapisaną jest na poczcie pod rubryką *t. 13a 5 Nachtrag.*

Pierwsze dwa kwartalniki „Czytelni Polskiej“ otrzyma każdy z nowoprzybyłych Abonentów, jeżeli nam nadeśle w znaczkach pocztowych 1 markę 30 fenygów franko.

Nowo przybyli Abonenci na „Czytelnię Polską“, zamieszkali w Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech, niech zechcą nadesłać na pierwsze dwa kwartalniki „Czytelni Polskiej“ franko do Administracyi „Czytelni Polskiej“ w Poznaniu, ulica Rycerska nr. 38, 85 centów w pieniędzach, gdyż znaczków austryackich zużyć tutaj nie możemy.

Wiadomości.

Autor „Gospodarza“, p. Bolesław Bardzki z Ząbina gościł w naszem mieście i złożył wizytę naszej Redakcyi, nadzieję nam dając, że nam w odbitce prześle „Cztery nauki gospodarcze“ (wydane przez Gebethnera w Warszawie.

Do dzisiajszego numeru dołączamy karty pocztowe z portretem królowej polskiej Jadwigi, z uprzejmą prośbą, aby je Szanowni Czytelnicy zużyć zechcieli w celu zjednania nam nowych abonentów przez rozesłanie tych kart pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych. Ponieważ za każdą kartę dołączoną płacimy poczcie 1 fenyg, przeto kto dołączonej karty nie wyśle do znajomego, ale ją zniszczy, ten nas krzywdzi, a jest to dla nas krzywda już znaczna, gdyż całe wydawnictwo „Pracy“ oparte jest właśnie na tych paru fenygach. Prosimy też tych kart nie przysyłać do nas, jak to często bywa, tylko do kupca, krewnego lub znajomego, gdyż tylko w tym celu owe karty dołączamy. Prosimy raz jeszcze usilnie nie zniszczyć karty, ale wysłać takową znajomemu.

Ustawiczne śledztwa i procesy wyrządzają nam prócz wielkich cierpień fizycznych i moralnych za kratami więzienia także wielkie szkody materyalne, wobec czego Czytelników, Przyjaciół i Zwolenników naszych prosimy, aby zechcieli zjednywać nam liczne nowe zastępy przedpłacicieli tak na „Pracę“ jak też na „Czytelnię Polską“.

Prosimy o rozpowszechnienie „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ wszędzie, przy każdej sposobności i na każdym kroku, gdyż tylko w ten sposób możemy dać godną i należytą odprawę „naszym najserdeczniejszym“, którzyby nas chcieli zmieść z oblicza ziemi.

Z teatru. Drużyna nasza artystyczna zjechała już do nas i próby się rozpoczęły. Na pierwszem i drugiem przedstawieniu, w sobotę i w niedzielę, dnia 22-go i 23-go b. m. ujrzymy po raz pierwszy głośną w Warszawie nowość: krotochwilę w 4 aktach uscenizowaną z powieści H. Sienkiewicza p. t. *„Ta trzecia“*. Utwór ten granym był w warszawskim teatrze Rozmaitości dotąd kilkadziesiąt razy.

Orkiestra teatralna została na nowo zorganizowaną, kierownictwo jej objął p. Borowski Julian, dyrygent muzyki z Krakowa.

Na zakupno elementarzy dla biednych dzieci nadesłali w dalszym ciągu: pp. W. z W. 1 mrk, dr. Adam Kosiński ze Lwowa 10 koron, Damian Udrzycki ze Lwowa 4 korony, państwo Skałkowscy ze Lwowa 4 korony, razem 18 koron czyli po zamianie 15 marek 23 fenygi, p. W. K. z K. (Galicya) 2 marki 88 fen. Razem złożono dotąd na ten cel 28 marek 13 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze nadesłali w dalszym ciągu pp. W. K. z K. (Galicya) 3 mrk. 38 fen., M. S. ze świata 3 marki, J. B. ze świata 1 mrk. 50 fen. Fr. K. z Wronek 3 mrk., Janusz Majewski z Borowa pod Sulencinem 3 marki.

Razem złożono dotąd na ten cel 16 mk. 98 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na zakupno domu w Konstantynopolu, w którym mieszkał i umarł Adam Mickiewicz, złożył w dalszym ciągu p. Janusz Majewski z Borowa pod Sulencinem 3 mrk.

Razem złożono dotąd na ten cel 23 marki 40 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Sprostowanie do nr. 37 „Pracy“. Prezesem „Sokołów“ gniazda Krotoszyńskiego jest powszechnie znany obywatel i gorliwy druh p. S. Mierzyński, natomiast kasyerem jest p. Franciszek Kośnik, a ławnikami są pp. Piotr Robiński i L. Adamczewski.

W uzupełnieniu notatki, zamieszczonej w nr. 37 "Pracy“, dotyczącej „Sokołów“ Pleszewskich, donosimy niniejszem, że prezesem jest p. A. Noskiewicz, a zastępcą tegoż druh p. M. Żeleziński; zaś naczelnikiem oddziału kołowników jest zasłużony druh p. S. Bendlewicz.

Spółka Rolników parcelacyjna przenosi swe biura z dniem 1-go października r. b. z ulicy Wilhelmowskiej nr. 18-y parter na ulicę Podgórną nr. 10a parter obok hotelu Francuzkiego.